

JAN KASPROWICZ

**KSIEGA
UBOGICH**

ŚWIATPOL

W. JASTRZĘBOWSKI

JAN KASPROWICZ

KSIEGA UBOGICH

193

STOWARZYSZENIE STUDENTÓW

POKAZU W PARYŻU

WYSTAWA W STANISŁAWIE

1911

PARIS 1911

LONDON 1911

FRANKFURT 1911

JAN KASPROWICZ

KSIĘGA UBOGICH

193

STOWARZYSZENIE STUDENTÓW

POLAKÓW W PARYŻY

Association des Etudiants Polonais

à PARIS

Rue de l'Odéon, PARIS VI^e



LONDON 1945

PRESS AGENCY (SWIATPOL) LTD

JAN KASPROWICZ

Okladkę projektował
W. JASTRZĘBOWSKI

KSIĘGA UBOGICH

193
STOWARZYSZENIE STUDENTÓW
POLSKICH W PARYŻU
BIBLIOTEKA
UNIWERSYTECKA
w Toruniu

1393239

Printed in Scotland by Allan Fowler Ltd., Glasgow.C.1.
for Press Agency (Światpol) Ltd., 38 Wilton Crescent, London S.W.1.

Rozmłowała się ma dusza
W cichym szeleście drzew,
Gdy koronami ich porusza
Druh mój, przecichy wiew.

Rozmłowała się ma dusza
W głośnych odmětach fal,
Gdy, druh mój, burza je porusza,
W nieznaną płynąc dal.

Rozmłowała się ma dusza
W twórczych promieniach zórz,
Gdy, druh mój, słońce, w świat wyrusza,
Życia płomienny stróż.

Rozmłowała się ma dusza
W przepastnej nocy mgłach,
Gdy, druh mój, śmierć na połów rusza,
A przed nią lęk i strach.

I

Witajcie, kochane góry,
O, witaj, droga ma rzeko!
I oto znów jestem z wami,
A byłem tak daleko!

Dzielili mnie od was ludzie,
Wrzaskliwy rozgwar miasta,

I owa śmieszna cierpliwość,
Co z wyrzeczenia wyrasta.

Oddalne to są przestrzenie,
Pustkowie, bezpłodne głusze,
Przerywa je tylko tęsknota,
Co ku wam pędzi duszę.

I ona mnie wreszcie przygnała,
Że widzę was oko w oko,
Że słyszę, jak szumisz ty, wodo,
Szeroko i głęboko.

Tak! Chodzę i patrzę i słucham —
O jakżeż tu miło! jak miło! —
I śledzę, czy coś się tu może
Od kiedyś nie zmieniło?

Nic, jeno w chacie przydrożnej
Zmarł mój przyjaciel leciwy
I uschły dwie wierzby nad rowem,
Strażniczki wiosennej niwy.

A za to świeżem się liściem
Pokryły nasze jesiony
I jaskry się złocą w trawie
Zielonej, niepokoszonej.

A za to płyną od pola
Twórcze poduchy wieczności,
Co śmierć na życie przetwarza
I ścieżki myśli mych prości.

Witajcie, kochane góry,
O, witaj, droga ma rzeko!
I oto znów jestem z wami,
A byłem tak daleko!

Tą samą chodzę drogą,
Ścieżkami temi samemi,
Lata mnie spędzić nie mogą
Z mej udeptanej ziemi.

Upór mój budzi zdumienie
Nawykłych do przemian oczu,
Lecz ja się wałęsać nie lenię
Po jednostajnym roztoczu.

Tą percią idący, tym skrajem
Smreczynowego lasu,
Utartym witam zwyczajem,
• Twórczą robotę Czasu.

Tu, patrząc na latorośle,
Na świeże gałązek końce,
Szept, bywa, ku górze poślę:
„O Tworzycielu, Słońce!”

Tu, z tego miejsca, najlepiej
Śnieżyste widzę szczyty
I jak się nad nimi sklepi
Strop niebios, błękitem kryty.

Tu z pod mych stóp się wyrывa
Młodzieńcze kwiecie poziomki,
Tam leży gałąź krzywa —
Odłamał cios ją gromki.

Odłamał zeszłego lata:
Pamiętam dobrze tę burzę

I z tajemnicą świata
Chodzić się dalej nie nużę.

Nie nużę się chodzić dalej
Po jednej tej samej drodze:
Znam, czego nie poznali
Pośpiesznych kroków wodze.

Ta jedna licha drzewina —
Nie trzeba dębów tysięcy! —
Z szeptem się ku mnie przegina:
„Jest Bóg i czegoż ci więcej?!“

To małe, nędzne pachole
Prawi mi, patrząc w oczy:
„W twem jednostajnem kole
Wieczność wraz z tobą kroczy...“

Tą samą chodzę drogą,
Ścieżkami temi samemi,
Lata mnie spędzić nie mogą
Z mej udeptanej ziemi...

III

Niema tu nic szczególnego,
Żadnych tu dziwów świata:
Fundament z skalnych odłamów,
Z płazów świerkowych chata.

Przed chatą mały ogródek,
A w nim — o ludzie zmęczeni! —
Czuwa nad naszym spoczynkiem
Rząd pewnych siebie jesieni.

Rozłożył swoje korony —
O ludzie, nękami strachem! —
Nad zrębem naszego domu,
Nad domu naszego dachem...

Nie ma tu nic szczególnego...
Droga się snuje pod płótem —
Skąd ona i dokąd wiezie,
Prawie nie myślę o tem...

Bo na cóż taka świadomość,
O ludzie, zbytnio ciekawil? —
Poranek zeszedł nad drogą,
Droga się w blaskach pławi!

Ach! dokąd wy tak śpieszycie,
O ludzie, tęsknotą gnani?
Tu las jest, tu potok szumi,
Wyzwolon z głaźnej otchłani...

Niema tu nic szczególnego...
Dzwon się odezwał z wieży,
W czerwcowych omzach południa
Łąka rozkwitła leży.

Pozbywa się moje serce —
O ludzie, żyjący nadzieją! —
Wszelakiej skazy, gdy widzę,
Jak trawy śmiać się umieją.

Gdy, stojąc w progach tej chaty —
O ludzie, żądni bogactwa! —
Wyciągam ręce i zgarniam
Skarby bożego władztwa...

Niema tu nic szczególnego.
Bo jakież cud tu być może,
Gdzie w wieczór na górskich szczytach
Zagwią się ognie boże?

Zagasły!... Że zgasły tak prędko —
O ludzie, żywota chciwi! —
I że zagasnąć musiały,
Nikt tu się temu nie dziwi.

Z głębin tych mroków błękitnych —
Walczący z chwiejnością ludzie! —
Przypływa ku mnie dziś pewność
O cudzie i o nie-cudzie...

Niema tu nic szczególnego,
Żadnych tu dziwów świata:
Fundament z skalnych odłamów,
Z płazów świerkowych chata.

IV

O dolce far niente!...

O dolce far niente!
O wczasy! O spoczywania!
Powiew na niebie obłoki rozgania,
Brzemiem deszczu wzdęte.

Ruszył się liść na drzewie,
Boży go oddech potrąca —
W ślad za nim, piersi tych liści tysiąca
W głośnym rozbrzmiały śpiewie.

Zmilkły, nim serce człeczce
Zdołało pojąć ich nutę...
O tajemnice, zaledwie odczute!
Niedowiedziane odwiecze!...

Po górach śniegi leżą,
Słońce je rychło zameczy:
Topnieją w oczach — patrz! u tej przełęczy,
Tam, pod tą skalną wieżą!...

Zrywa się nagle burza,
Dalekie gdzieś słychać grzmoty —
Nad złotym jaskrem krąży motyl złoty,
W kielich się jego zanurza.

Minęła bokiem, stroną,
Konają słabe jej echa —
Ziół swych błękitem moczar się uśmiecha,
Krase kosaćce płoną.

Podaj mi chętnie dłonie,
W uścisku swym zamknij moje:
Niemal zawstydzon przed tobą dziś stoję,
Że śmiałem sięgnąć po nie.

O dziwy niepojęte!
O nieba szafirze gładki!
O ócz patrzących wieczyste zagadki!...
O dolce far niente!

O dolce far niente!...

Ci śpieszą się do miasta,
Tamci zaś idą gdzieś w pole,
A ja na progu swoim usiąść wolę —
Gnuśność żywota wzrasta.

Księgę do ręki biorę —
Wczytam się w mądrość człeka,
Zapisywaną od wieka do wieka...
Śnać wziąłem ją nie w porę:

Gołębie się strzepnęły,
Zabrały mi wszystkie myśli...
Jedni już w targu, drudzy z pola przyszli,
Nie dziwią mnie swemi dzieły...

Kurz podniósł się na drodze —
O, stóp on mych nie opyli,
A jeśli, umiem go strząsnąć tej chwili,
Po ścieżkach wyśnionych chodzę.

W głąb idę może ciemną,
A może nadzwyczaj jasną...
Po co się pytać, czy gwiazdy mi zgasną,
Ty, czuję, dążysz ze mną.

Dwie tęcze się zjawily
Na widnokregowym kresie:
Jak dumnie łuk ich ponad ziemię pnie się,
Siedmioma barwami opily!

Napój to z winnic słońca —
Pić rozwartemi go usta,
A potem w górę podnieść kielich pusty:
Trzeba go chłonać bez końca...

O dolce far niente!
Ty duszy najdroższe mienie!
Ślepoto oczu i jasnowidzenie,
W godzinie wczasów poczęte!

O dolce far niente!...

W niejednej-ci ja biesiadzie
Uczestniczyłem wesolej —
Słuchajcie mnie, przyjaciele! —,
Uczeń aż nazbyt pojętny
I z nienajgorszej szkoły...

Gdy powszedniości zbyt wiele
Zalazło w progi otwarte —
Hej, utęskniony wieczorze! —,
Serca wszelakie złoto,
Na jedną rzucałem kartę.

Nigdy się było nie drożę:
Upust dający wymowie —
Fala o falę uderza —,
Kielich wznosiłem do góry,
By wasze wychylić zdrowie.

Mieliście grubego zwierza,
Wielce mu radzi, przeradzi —
Bezdenne są źródła troski —,
Że ogień skrzył się nam w oczach,
Jak wino, płynące z kadzi.

Że jakiś wysłaniec boski
Chwytał nas wszystkich w ramiona —
Lubię ja zorze, gdy gasną —,
Tłumacząc, iż niema różnicy,
Czy ktoś pożyje, czy skona...

Byliście wdzięczni, że własną
Możecie rozrządzać duszą —
O płodne w owoce lato! —

Bez onych względów, zastrzeżeń,
Co bujność rozkwitu giuszą.

Wdzięczni byliście i za to,
Że godnych ja chwil nie pomnę —
Człek nie wie, gdzie znajdzie radość —
Aby was wszystkich raz jeszcze
Zaprosić kiedy w gościnę.

I oto czyniący zadość
Danemu tak szczerze słowu —
Nie dla mnie ten grób się tam kopie —,
Korzystam ze sposobności,
Wzywam i witam was znowu.

Zaiste, na wielką stopę
Żyję w tym moim salonie —
Lubi się chełpić me serce —:
Obszerny po widnokregi,
U stropu słońce płonie.

Patrzajcie, co za kobierce!
Tkane rękami Boga! —
Innym nie sprzyjam warsztatom! —
Robota ogromnie wzorzysta,
Materia przedziwnie droga...

Za legowisko światom
Od wieków-ci one służą —
Naprzemian sen mija się z jawą —:
Śmierć chodzi po nich i życie
Stopą ponadmiar dużą...

Siądźcie tu, pod tą złotawą,
Lśnistą koroną jaworu —

Żywizno błękitnych pował! —,
Lub pod tym smrekiem, pod brzozą,
Pod baldachimem boru.

Sam On-ci je wyhodował
Na wasze dziś odwiedziny —
Oczu przymglonych ślepoto!... —,
Jeśli wam nie w smak przyjęcie,
Nie z Jego to będzie winy.

Jest i kapela!... Są oto
Gęśle, wybrane z gęśli —
Pieśń bywa bezbożna i święta —:
Snać aniołowie te dźwięki
W bród po przestworzach roztrzęśli.

Owady brzęczą, ptaszęta
Z drzewem i kwiatem świergocą —
O duszo ty nieobyta! —
I pierś człowieka rozbrzmiewa
Niedoli i doli swej mocą.

Chłońcie ten napój do syta!
Innego wina tu nie trza! —
Zagadki czekają w otchłani... —
Wymowy waszej upusty
Napelnia kregi powietrza.

Rozgrzani i rozśpiewani
O mego gazdostwa cudzie —
Odkryją się kiedyś tajnie —,
Ujmiecie prawicę bożą,
Choć tylko jesteście ludzie.

Po ziemi chodząc zwyczajnie,
Przecież swój ślad poznaście —
Godzina goni godzinę —
Krokami, jak śmierć, wielkimi,
Krokami wielkimi, jak życie...

O chodźcie do mnie w gościnę!...

VI

O starowierne melodje!
O bogomodne organy!
Słucham was dzisiaj, jak dawniej,
Do głębi rozmiłowany.

Przychodzę pod zrąb szerniały
Modrzewiowego kościoła.
I słucham, jak głos mnie odwieczny
Do wielkich wyznań woła.

Przytulon do lipy stuletniej,
Oszołomiony jej wonią,
Ulegam świętym urokom,
Co w pieśni organnej dzwonią.

Zda mi się, że w jej potędzie
Odzywa grom się znowu,
Gdy Twórca nadawał kształty
Swemu płodnemu Słowu.

Że w tych przycichłych akordach —
O, jakżeż czekam ja na nie! —
Odzywa się Jego serdeczne:
Tych kształtów umiłowanie.

Czuję, zagubion w przedwieczu,
Jak dusza się moja przemienia,
Jaka ją żądza porywa,
Jakie ją wznoszą pragnienia.

Z gliny, rzuconej mym ręką,
Chciałbym ulepić dzieło,
Co serceby miało organne,
Co z Niego początek wzięło.

Wiem: nie dorówna-ci ono
Prawdzie Pierwszego Mistrza,
Ale odbijać ją będzie,
Jak niebo woda najczystsza.

Chciałbym, ażeby się miłość
Spełniała w tworzacej duszy,
By oczy jej były otwarte
I zawsze otwarte uszy.

Wiem: nie dorówna-ci ona
Jego wszechwidnej miłości,
Ale ku źródłu swojemu,
Iść będzie jakonajprościej.

I oto, gdy w wiejskim kościele
Organy brzmią rozmodlone,
Ja z jarzmem tych pragnień moich
W Jego wędruję stronę.

Przytulon do lipy stuletniej,
Na łany śpieszę, nad zdroje,
Z pól Jego zbieram materiał
Na czyn mój, na dzieło moje.

Czasem mnie kłos zastanowi,
Najpłońska zatrzyma trawa,
Lub fali jeziornej dalekie
Wspomnienie wpoprzek mi stawa.

I wówczas mi się wydaje —
O dumo, idąca z Boga! —,
Że miłość moja tak wielka,
Jak w krąg ta ziemia droga...

O starowierne melodje!
O bogomodne organy!
Słucham was, dzisiaj, jak dawniej,
Do głębi rozmiłowany...

VII

Powiedz mi, powiedz,
Jaki cię ku mnie sprowadził manowiec?
Z za jakiej góry, z za jakiej rzeki
Przybyłaś tutaj, w świat mój daleki,
Pewny swej drogi wędrowiec?

Co za wyrocznie
Rzekły ci prawdę, tak dzisiaj naocznie
Zadowoloną z przynęty swojej,
Że w mego domu cichej ostoji
Znużona stopa twa spocznie?

Złóż-że, me dziecię,
Sakwę podróżną, co barki ci gniecie,
I pokrzep siły czarą miłości:
Dla najprzedniejszej jest ona z gości,
Dla jednej już tylko na świecie...

A jeśli padnie
Kropla goryczy, co leży gdzieś na dnie,
Zawiedzionemi nie krzyw się usta:
Ja-ć nie poszedłem między oszusty,
Nie chciałem ubiec cię zdradnie.

Takie są dzieje,
Że i najczystsza fala, co jaśnieje
Odblaskiem nieba, ciemno się skłębi
I muł i zielsko wyrzuci z głębi,
Gdy wicher niezwykły zawieje...

Lecz pocóż o tem?
Dzięki ci, dzięki, że takim mnie złotem
Obdarowujesz, wybranem z skrzyni,
Gdzie się na życie ofiara czyni,
Gdzie niema paktów z odwrotem.

Oczy ci płoną
Na myśl, że, taką niepowszednią stroną
Przybywszy skądś w te progi,
Bogacisz dom mój ubogi
Swą wiarą nieprzemoloną.

Lico-ć się pali,
Kiedy mi szepcesz, że widzisz gdzieś w dali,
Jak za tą skonów powłoką ciemną
Jakąś światłością świecim wzajemną
Śród tych, co dnia nie zaspali.

O, nie bogato
Za miłościwe odpłacam się lato:
Idąc w tę przyszłość za twymi tropy,
Chciałbym ci słońca rzucać pod stopy,
A daję li pieśni ci za to.

Ale ty właśnie
Mówisz, że przy nich wszelki skarb ci gaśnie,
Albowiem celem twoim przybycia
Było uczynić hymn z mego życia,
W wieczyste zmienić je baśnie.

Powiedz mi, powiedz,
Jaki cię ku mnie sprowadził manowiec?
Z za jakiej góry, z za jakiej rzeki
Przyszłaś z tą wolą w świat mój daleki,
Zwycięstwa pewny wędrowiec?...

VIII

Swobodna jest moja dusza,
Nikt jej skrępować nie zdoła,
Miłuje-ć ona swe skrzydła,
Cześć żywi dla swego czoła.

Czy loty jej górne, czy niskie,
Czy nieba, czy ziemi jest bliżej,
Nigdy na żaden się ukaz
Nie ugnie i nie poniży.

Nie władnie tu żadna potęga
Nad jej wieczorem, czy ranem,
Sama jest sobie monarchą,
Sama jest sobie kapłanem.

Swój własny ma ona kościół,
Królestwo swe osobiste,
Parafian ma i poddanych
Wielce dobraną listę.

Swych praw świadoma i dzierzaw,
Nieraz i w pychę porasta,
Myśli, że niema już nad nią
Swobodniejszego własta.

A przecież bywają chwile —
O sił tajemnych przymierze! —
Iż coś ją więzi i pęta,
Coś ją na arkan bierze.

Nasturcje, co w naszym ogródku
Puściły kielki i rosną,
W raba zmieniają mą duszę
Potęgą swą bezlitosną.

Kwiat złotogłowia, co właśnie
Dziś zakwitł nam w całej ozdobie,
Każe mej duszy po cichu
Położyć skrzydła po sobie.

Ten kret tu, cō pod korzeniem
Tych maków przyziemnych ryje,
Przymusza ją, jak poddanke,
Bezwolną uginać szyję.

Ta wrona, co dla swych piskląt
Chleb nam ze stołu kradnie,
Potrzebę i rozkosz niewoli
Budzi w jej sercu na dzień.

I dusza ma, wielce posłuszna,
O prawa się swoje nie pyta,
Z podwiązanymi skrzydłami
Stoi w podziwieniu, jak wryta...

Swobodna jest moja dusza,
Nikt jej unżyć nie zdoła,
Ale są chwile, gdzie kornie
Musi pochylać czoła.

IX

Gdy idę tak, nie wiem, dlaczego,
Pod skwarem czerwcowym nieba,
Wydaje mi się niekiedy,
Że mi spoczynku potrzeba.

Pragnąłbym usiąść przy zdroju,
Wody zaczerpnąć rękoma
I skroń ostudzić płonąca
Od drogi, co taka jest stroma.

Pragnąłbym zgasić pragnienie,
Które tak w gardle mnie piecze,
I w cieniu drzew tych wyciągnąć
Znużone kości człowiecze.

Ale się lękam, by czasem
Nie zmógł mię sen w tym beczynie
I świata mi nie przesłonił
Mrokiem, co stamtąd przyplynie.

Chcę go zobaczyć z tej góry
W krwawiących ogniach zachodu,
Jak nań patrzałem o wschodzie —
Tak dawno temu, za młodu.

Chcę widzieć, jak długo się będzie
Palił ten obraz żywota,

Te skalne olbrzymów czoła,
Ta masa szczerzego złota.

Chcę widzieć, jak skończy się walka —
Mgły na nie z nizin ruszyły —
I czy też i moją duszę
Z twardej wykuto bryły.

Chcę — i o, wiem już, dlaczego
W czerwcowe-m wybrał się skwary, —
Z człowieczą zmierzyć się Dolą
Na siły i na zamiary.

Dotychczasowe me drogi
Przez puszcze i przez wyręby
Uczyły, że bywa konieczność
Zaciskać pięści i zęby.

Wiem, że te cuda zobaczę —
Cudem też będzie wytrwanie —,
Gdy cienia pogardzę i źródłem,
Gdy nie obejrzę się na nie.

Albowiem czas mój jest krótki —
Rychło zapadnie krąg słońca...
I oto idę w tej spiece,
Nie spoczywając do końca.

Idę z tem większą ochotą,
Bo w drodze tej — o czym się nie śni
Z was niejednemu, o ludzie! —
Głazy mi nucą swe pieśni.

Rycerskie to są melodie,
Sławiące wielkie przeboje,

O nie mi dzisiaj idzie,
Choć snąć u schyłku już stoję.

Wiem już, dlaczego, spieszący
Ku ostatecznej światłości,
Nie myślę już gasić pragnienia,
Wyciągać znużonych kości.

X

O wielcy i syci tej ziemi!
Cóż z wami łączyć mnie może,
Choć głodno spać się nie kładę,
Choć, miast barłogu, mam łożę?

Choć biała na mnie koszula,
Z tych samych lnów uprzedzona,
I choć jednakie nam sukno
Pokrywa nasze ramiona?

Choć nieraz przy wspólnym stole
Z jednakich jemy talerzy,
Nad czystym schyleni obrusem,
Co dziesięć łokci mierzy?

Choć z szklanic o złotych brzegu,
Rzniętych w kosztownym kryształe,
Jednakie pijący wino,
Z wami je razem chwale?

Cóż może mnie skuwać z wami,
Jakie ogniwa i sploty,
Choć wspólne snąć mamy grzechy
I wspólne, jeśli są, cnoty?

Choć, z jarzma dziś wyprzęgnięty,
W rozsypiającem tem lecie
Bezczynnnie się włóczę po drogach,
Tak samo, jak wy to umiecie?

Choć mógłbym z niejednym z waszych
Słuchać dziś szeptów tej głuszy,
Bo i wy przecież także
Wrażliwe miewacie uszy —

I z was zamyśleńcy powstali,
Patrzący na świat nieobłudnie,
Co jakież głęboko umieli
Sondę zapuszczać w studnię!

Jakież mnie wiążą z wami
Łączniki, węzły i spójnie,
Choć jedno z błękitów słońce
Spogląda na nas tak czujnie?

Chociaż ten grom, co w tej chwili
Zabójczym zahuczał głosem,
Mógłby tu mnie razem z wami
Jednym powalić ciosem?

Choć śmierć ma, tak samo, jak wasza,
Licha być może i podła —
Z uwiązdu, co musiał zejść z drogi,
Która ku chwale wiodła?...

Te na samotnych przechadzkach
Zadają sobie pytania,
Pragnący osiąść tę miłość,
Co się ku wszystkim skłania.

Lecz czuję, choć pęd swych zastrzeżeń
Trzymam usilnie na wodzy,
Że sercu mojemu najbliżsi
Maluczcy i przeubodzy —

Że wszystko, co tylko jest w duszy
Z najszlachetniejszej przędzy,
Ludzkiemu oddaję cierpieniu,
Ludzkiej poświęcam nędzy.

XI

Przestałem się wadzić z Bogiem —
Serdeczne to były zwady:
Zrodziła je ludzka niedola,
Na którą niema już rady.

Tliło w mej piersi żarzewie,
Materiał skier tak bogaty,
Że jeno dąć w palenisko,
A płomień ogarnie światy.

Wiedziały o tem potęgi,
Co gdzieś po norach drzemią,
Albo z bezczelną jawnością
Jak mgły się włóczą nad ziemią.

Wiedziały-ci o tem moce,
Które złośliwość popędza,
By szły powiększać nędzę
Tam, gdzie największa jest nędza.

Wiedziały-ci o tem zastępy,
Które czyhają z za węgła,

Lub w okna patrzą z szyderstwem,
Czy zbrodnia się nie wylęga?

Wiedziały, że jeno się zbliżył
Ku popiołowi mej kuźni,
A serce od razu wybuchnie,
Zuchwale zaklnie, zabluźni.

Że swym bluźnierstwom i klątwom
Czynu wyciśnie znamię,
Płonące żądzą odmiany,
Przewrotu, co berło Mu złamie.

I dzisiaj nie żal mi tego,
Najmniejszej nie czuję skruchy,
Bom-ci nie żaden służalec,
Na własne serce głuchy.

Bo w sporze o szczęście świata
Swawolność mi była daleka,
A tylko korzystał z prawa
Wojującego człowieka.

Jeno że dzisiaj to widzę,
W patrzeniu dosyć już biegły,
Czego w zamęcie walki
Źrenice me nie dostrzegły.

Nie ruszał-ci On naprzeciw
W ryszunku wspaniałym dziwie,
A tylko na tronie Swym siedząc,
Uśmiechał się pobłażliwie...

I dziś ja sam uśmiechnięty,
Gdy krzyczą: „W żelazo się okuj!“,

Jak ongi miecz niosłem walczącym,
Tak dzisiaj niosę im spokój.

Lecz już nie wadząc się z Bogiem,
Mam jeszcze cichą nadzieję,
Że na dniu mojego spokoju
Żar świętej wojny tleje.

XII

Umiłowanie ty moje!
Kształty nieomal dziecięce!
Skoń dotąd niepomarszczona,
Białe, wążutkie ręce!

Lubię, gdy stajesz ze mną
Na tym tu wiejskim balkonie,
Który poczerniał od deszczów,
Lecz dzisiaj mi w blaskach tonie.

Lubię, gdy z tego dzbana
Podlewasz kwiaty na grzędzie,
Marząca lub głośno mówiąca,
Jaka to rozkosz z nich będzie!

Lubię, gdy, siedząc przy stole,
Siegasz po kromkę chleba
I, dzieląc ją, dajesz mi cząstkę,
Czy trzeba mi, czy nie trzeba.

Lubię, gdy gubiąc się w dali,
Gdzie Wierch się rozsiadł Lodowy,
Czoło, przyćmione zadumą,
Do mojej tulisz głowy.

Ale najbardziej ja lubię
Ciekawość, co z oczu ci tryska,
Gdy wracam, jak zwykle, od pola,
Od lasu, od rzeki łożyska.

Gdy wracam z codziennej drogi,
Cały rozplamieniony,
Pytasz się, cała w płomieniach,
Jakie przynoszę plony?

Czy w szumie wody lub drzewa
Nutę odkryłem świeżą
I czym już doszedł, co żyje
Za nieba i ziemi rubieżą?

Czy mgły się przedarły, czym słyszał,
Jak dzisiaj, melodie skowrończe
I kiedy z zwątpieniem w pieśń własną
Raz ostatecznie zakończę?

Czy miałem tę szczęsną chwilę
Spojrzenia do głębi wnętrza,
By się przekonać, że jeszcze
Jakiś tam pokład się spiętrza?

Że w duszy niewyczerpanej —
Niech prawda ta będzie prawdziwa! —
Na hymn, co zagaśnie li z życiem,
Godnego starczy paliwa?

Strasznie to lubię, gdyż czuję,
W dolę zapatrzon wzajemną,
Że w takich mi drogich godzinach
Najbardziej żyjesz ze mną.

Umiłowanie ty moje!
Kształty nieomal dziecięce!
Skroń dotąd niepomarszczona,
Białe, wążiutkie ręce!

XIII

Okrutna dziś spadła ulewa —
Mgieł nieprzeparty nawał
W północ zamienił poranek,
Co kłam swej prawdzie zadawał...

Uragająca swym brzegom,
Ta zaperzona rzeka
Przed własnych gniewów szaleństwem
Z groźnym przestraczem ucieka.

Nie troszcząc się o nic, poźółkła,
Toczy w swej złości głębokiej
Od łon urwane wieczystych
Ciężkie, kamienne bloki.

Słysząc jej pomruk na milę —
Dnia on robotę zagłusza,
Choćby w niej całkiem ugrzęzły
I ciało twoje i dusza.

Choćbyś się zapamiętał
I jął się młyńskiego koła,
By nie zapomnieć o ziemi,
On cię od ziemi odwoła.

Choćbyś się w jarzmie powszedniem
Tak kochał, że śniłbyś li o tem,

Jakby najbardziej się zgarbić,
Wyprzężon będziesz tym grzotem.

Pójdiesz, jak ja w tej godzinie —
Z dziwu ci grzbiet się wyprości —,
By patrzeć, jak żywił tym ścianom
Głaźne wyżera wnętrzości.

Pójdiesz, jak ja dziś, w ten mgławcy
Czas, blaskiem słońca nie zdarty,
By odczuć żądzę czytania
Z tej przeolbrzymiej karty.

Lecz choć widoczne są znaki,
Dostępne dla wszystkich w świecie,
Nie będziesz się mógł rozemnać
W ogromów tych alfabcie.

Rozsadzać cię będzie pragnienie
Powzięcia dokładnych wieści,
Lecz jasna się prawda w tej głowie
Snać nigdy już nie pomieści.

Bo strach już pomyśleć, już człowiek
Niemał obłądu jest blisko,
Że się lat setki tysięcy
Powtarza to widowisko.

XIV

Narazie, mówiący prawdę,
Nie palę się całkiem do śmierci,
Przyjdzie tu sama tą drogą,
Albo po wąskiej tej perci.

Całkiem też ludzi rozumiem,
Krzyczących, że wszystko im jedno,
Jaki ich rydel oklepie,
Gdzie zgnije śmiertelne ich sedno.

Ale że umrzeć raz trzeba,
A marzyć jest wolno każdemu,
Więc mam i ja prośbę w sprawie
Ostatecznego Eremu.

Do was się zwracam, najbliżsi,
I do was, cni przyjaciele,
Byście z tym śmiesznym zewłokiem
Nie mieli zachodów zbyt wiele.

Na chłopską połóżcie furę,
W cztery schowawszy go deski,
Niech w takim zajeżdża tryumfie
Ten pomiot chuci niebieskiej.

Jubilat ciężkich lat życia,
Co swą i cudzą niedolę
Przetrawiał, niech w takim zbytku
Na to zajeżdża pole.

Bo tutaj, na tem pustkowiu,
Gdzie nieraz, dumając o świecie,
W poranki-m się błakał rosiste,
Głęboki mi dół wykopiecie.

Albo, jeżeli już łaska,
Wybierzcie mi przystań nad rzeką,
Tu, nad tą burtą kamienną,
Pod szumów wieczystych opieką.

Tu-m ja w słoneczne południa,
Z odłamu tej lśnistej skały,
Widywał, z jaką potęgą
W przestwór te szumy się rwały.

Lub tutaj — o żądzo zbyt górna! —
Przy udeptanej tej drodze,
Gdzie nieraz, gwiazdy łowiący,
Wieczorem, bywało, chodzę.

A mam-że być jeszcze natrętnym —
O, jakim upokorzony! —,
Na grobie mym raczcie posadzić
Dwa świerki lub dwa jesiony.

Wszakże przez wszystkie dni swoje,
Tajemnych głosów ciekawy,
Nad dźwięki lubitem najśłodsze
Pogwary ich i rozprawy.

Pogardził Bóg lichem ciałem,
W pierwotny proch je rozkrusza,
Lecz tegom ja wielce pewien,
Że wielce mu jest dusza.

Więc myślę, że jej pozwoli
Przychodzić od czasu do czasu
Nad rzekę, na pół tych pustkowie,
Na drogę, do gór tych, do lasu.

Że jej pozwoli siadywać
Na darni zielonej mogiły
I słuchać jesionów czy świerków,
Co szpik jej powłoki wypity...

Nie myślę jeszcze o śmierci,
Ale że umrzeć raz trzeba,
Więc proszę was o tę ostatnią,
Razową kruszynę chleba.

XV

O Wierchu, ty Wierchu Lodowy!
I znowu się zwracam do ciebie,
Olbrzymie, rozbłękitniony
Na tem błękitnem niebie.

Stoisz naprzeciw mych okien,
Codziennie widzieć cię muszę,
Zaglądasz z swej dali w mą izbę,
A nieraz, zda mi się, w duszę.

Zda mi się, że nieraz się pytasz,
Skąpan w światłościach południa,
Czy jeszcze jest coś w mojem wnętrzu,
Co drogę mi w słońce utrudnia.

I owszem, przyznaję, że jeszcze
Mrok jakiś kryje się na dnie,
Cień świata, co rwał mnie w swą otchłań
I dzisiaj mi radość mą kradnie.

I dziś mnie, o Wierchu promienny,
Z koła wytrącić może
Gdzieś jakaś umarła wierzba,
Gdzieś gradem pobite zboże.

Gdzieś jakiś wybladły człowiek,
Którego niweczy nędza,

Albo choroba, dziś jeszcze
W chmurną mnie żałość zapędza.

Tak zwykle, powszednie sprawy,
Takie konieczne zjawiska,
A ich przyczyna i skutek
Nieomal w rozpacz mnie ciska.

Ale mnie wnet odbiegają
Te kłamu zwiastuny i gońce,
Dziś moją prawdą wszechwładną
Zieloność, woń łąki i słońce.

Przenika mnie blask ich i świeżość,
I twoja skalista władza,
O wierchu, kowany w granicę,
Krew świeżą mi w żyły wprowadza.

Czuję się znowu jak dziecko,
Młodość mi pierwsza powraca,
Weseli mnie dzień ten słoneczny,
Żywiołów raduje praca.

Czuję, że dzisiaj mi skrzydła
Potrójnie się wzmogły, poczwórnie,
Żem gotów na lot się odważyć
Nad te podniebne turnie.

Pytasz się, Wierchu, swym blaskiem
Patrzący do mego wnętrza,
Czy wiem, że wszystkim jest słońce,
Że to potęga najświętsza?

Wiem dobrze, a jeśli się echem
Pomrok odezwie dalekiem,

Azali być może inaczej?
Wszak człowiek jest tylko człowiekiem.

O Wierchu, ty Wierchu Lodowy!
I znowu się zwracam do ciebie,
Olbrzymie, rozświetlony
Na tem błękitnym niebie.

XVI

Przynoszę ci kilka pieśni
Na nutę niewyszukaną,
W górach je naszych zebrałem,
Przy stawach, pod skalną ścianą.

Przy stawach, pod skalną ścianą,
Na tej spadzistej przełęczy,
Gdzie śnieg się jeszcze w tej porze
Błagalnie ku niebu wdzięczy.

Błagalnie się wdzięczy ku słońcu
Ta bryła srebra szczerą,
A ono z promiennym uśmiechem
Zwolna jej serce pożera.

Požera zwolna jej serce
I potem, zadowolone,
Podąża w swój pałac zachodu
W tryumfu się ubrać koronę.

W koronę tryumfu się stroi,
A ona, ta śniegu bryła,
Pociesza się w samotności,
Że jeszcze snąć będzie żyła.

Że jeszcze snąć będzie żyła,
Że wróci ku niej krąg słońca
I że, promieniejący,
Pochłaniać ją będzie do końca.

Pochłaniać ją będzie do końca,
Aż się wypełnią jej dzieje,
Aż wszystka, spragniona miłości,
W uściskach jego stopnieje.

W uściskach jego stopnieje,
Nic po niej nie pozostanie,
Znaczyć li będą jej miejsce
Wieczyste, kamienne granie.

Wieczyste, kamienne granie,
Czarne, błyszczące skały,
Co same się w żarach słonecznych
Posepnie rozmiłowały.

XVII

Przynoszę ci kilka pieśni,
Umiłowanie ty moje —
W góry poszedłem po nie,
Między siklawy, nad zdroje.

Między siklawy, nad zdroje,
Na turni strome urwiska,
Gdzie w otchłań omglonych żlebów
Ścieżka się wije śliska.

Ścieżka się wije śliska,
Stacza się, rzuca, opada,

Strachy się tłumią po niej,
Śmierć chodzi po niej rada.

Śmierć chodzi po niej rada,
Lecz cóż mi dziś myśleć o śmierci?
Widnokrąg życia ja widzę
Z tej niebezpiecznej perci.

Z tej niebezpiecznej perci,
Co tak się pręży i kurczy,
Znak bezpieczeństwa dostrzegam,
Wybawiający, twórczy.

Wybawiający, twórczy,
A bliski, że jeno go dostać
Ustami, twój obraz mi załśnił,
Twoja codzienna postać.

Twoja codzienna postać,
Tak, jak widuję ją w domu,
Rozradowała me serce
U żlebu, u tego złomu.

U żlebu, u tego złomu,
U skały, co grom ją rozkrusza,
Czy wiatry ścierają chciwe,
Poczęła śpiewać ma dusza.

Poczęła śpiewać ma dusza,
A w tejże chwili z nią razem
Potężniał mi pogłos wieczności,
Zawisły nad wodą, nad głazem.

Zawisły nad wodą, nad głazem,
Stugędbny chorał promieni

Zdwojoną rozlał się mocą
Po widnokrężnej przestrzeni.

Po widnokrężnej przestrzeni
Blask słońca zagrzmaiał jaskrawy,
Huki mu zdwojonymi
Grzmiące wtórzyły siklawy.

Grzmiące podwójnie siklawy,
Potoków zdwojone rzesze
Wtórzyły pieśni mej duszy,
Mojego serca uciesze.

Mojego serca uciesze
Snać wtórowała i ścieżka,
Po której śmierć chodzi rada,
Na której strach chętnie mieszka.

XVIII

Przynoszę ci kilka pieśni,
W cichym je składam pokłonie —
Proste i szare, jak głązy:
W góry poszedłem po nie.

W góry poszedłem po nie,
Gdzie wierchy gubią się w niebie,
Jak serce ulatujące,
Kiedy przeczuwa ciebie.

Kiedy przeczuwa ciebie,
Ogarnia twojego ducha,
Co, zapatrzony w przyszłość,
Tajemnych głosów jej słucha.

Tajemnych głosów jej słucha
Na wielkiej, upartej wysłudze
Tego, co może dla świata
Jest niepojęte i cudze.

Jest niepojęte i cudze,
Albowiem nie każdy w tym tłumie
Nie każdy los swój rozumie.
Ma szczęścia swojego świadomość,

Nie każdy los swój rozumie,
Z prawem wieczności zżyty,
Jak ta błękitów kopuła,
Która osłania szczyty.

Szczyty strzeliste osłania,
W świetlne zasnuwa je dymy,
Że nie są głaźnymi już zwały,
Lecz niby duchy-olbrzymy.

Tak, niby duchy-olbrzymy,
Które głębokie swe oczy,
Pełne wewnętrznego życia,
W jeziornej topią przezroczy.

W jeziornej topią przezroczy,
W stawów głębinie tęczowej,
Za skalne ująwszy się ręce,
W zadumie schyliwszy głowy.

W zadumie schyliwszy głowy,
Snać marzą kamienne te stadła,
By ludzie, świadomi swej doli,
Co na nich, jak przymus, padła.

Jak przymus padła-ci na nich
I, nieugięta, wciąż każe,
W głąb mieć zwrócone oczy,
W oddal zwrócone twarze.

Twarze zwrócone w oddal,
Leżącą za kresem ziemi,
Gdzie duchy, jak gór tych olbrzymy,
Zbrojami lśnią stalowemi...

XIX

Przynoszę ci kilka pieśni,
Z gór ci je naszych przynoszę,
Gdzie szczęścia żądny wędrowiec
Szczęsne znajduje rozkosze.

Szczęsne znajduje rozkosze,
Kiedy wczesnego rana
Zobaczy, jak cicho się błyszczą
Jeziora tafla lustrzana.

Jeziora tafla lustrzana,
Zielona, bez ruchu leży,
Ujęta w wieniec granitów,
W krąg pawio-barwnych obrzeży.

Śród pawio-barwnych obrzeży,
Skąd sen snąć nie prędko ulata,
Widać, że zbudzić się nie chce
To cudo rannego świata.

Śni cudo rannego świata —
A nad niem równe mu cuda,

Turnie wartują potężne,
Wielkolud we wielkoluda.

Wielkolud we wielkoluda,
Gdzieś przed wiekami stworzeni,
Nie mogą się nadziwować
Rozbłękitnionej zieleni.

Rozbłękitnionej zieleni
I ja się nadziwić nie mogę:
Przystaję i patrzę w jej ciszę,
W przeznaczeń idący drogę.

W przeznaczeń idący drogę —
Kto mi jej koniec wyróży? —
Jużbym też dzisiaj nie pragnął
Żadnego gromu ni burzy.

Żadnego gromu ni burzy,
Żadnego sił roztargnienia,
Jeno spokoju, jak spokój,
Co się z tej głębi wyłania.

Z głębi się jasnej wyłania —
Głazne-ć ma ona podłoże,
Nie zielska, nie chwasty namulne,
Lecz niebo promienne, boże.

Niebiosa promienne, boże,
Góry śniegami poryte
Rzucają blask swój i kształt swój
W tę zwierciadlaną płytę.

W tę zwierciadlaną płytę
Rzuciwszy czar swej postaci,

Wychodzą z kąpieli spokoju
Promienniej, pełniej, bogaciej.

Promienniej! pełniej! bogaciej!
Okrzyki, przedziwnej treści!
Znasz je i wiesz, jaka pewność
W błękitnym spokoju się mieści.

W błękitnym spokoju się mieści
Widzenie rozkosznej oddali,
Gdzie cel mej wędrówki dzisiejszej
W skrach nieśmiertelnych się pali.

W skrach nieśmiertelnych się pali
Szczytu chwalebny diadem —
Idę ja dzisiaj ku niemu,
Ty moim podążasz śladem.

Ty moim podążasz śladem,
A z tobą ten spokój głęboki,
Co jasność daje mym oczom
I w pewność uzbraja kroki.

O, w pewność zbrojne wy kroki!
O, duszo, jak toń zwierciadlana,
Którą w okolu granitów
W błękitne-m widywał rana...

XX

Przynoszę ci kilka pieśni —
Podarek może-ć i miły:
Kolebka ich w głazie ciosana,
W górach się one zrodziły.

W górach się one zrodziły,
Tam, gdzie dwie limby pod strażą
Odwiecznych, kamiennych złomisk
Tulą się k'sobie i marzą.

Tulą się k'sobie i marzą,
Na skalnej zawisłe krawędzi,
Do stóp się im potok ślania,
Co z wierchów słonecznych pędzi.

Z wierchów słonecznych on pędzi
Z przejmującymi rozgwary —
Słuchają go chciwe kosówki,
Las się wsluchuje stary.

Las się wsluchuje stary,
Podszywający granie —
Jakby na wieki oniemiał,
Tak go przemogło słuchanie.

Tak go przemogło słuchanie,
Lecz wnet się otrząśnie z milczenia:
Wichry się skądś ruszyły,
Las się w organy przemienia.

Las się w organy przemienia,
Pochwałę burzy śpiewa,
Co z łyskiem i gromem wypadła
I zmiata stuletnie drzewa.

Stuletnie druzgoce drzewa,
Bloki granitów strąca,
Siklawy z łożysk wyrzuca,
Łkająca, tryumfująca.

Łkająca, tryumfująca,
Za chwilę traci już siebie,
Ze strachu do want się przyciska,
W przepastnym przepada źlebie.

W przepastnym przepada źlebie,
A z wnętrza przycichłej doliny
Wyrasta znów wał granitowy,
Z mgły się wychyla sinej.

Z mgły rzedniejącej, sinej,
Co reszką już kłębów swych dymi,
Oczyszcza się łańcuch szczytów,
Niespodziewany, olbrzymi.

Niespodziewany, olbrzymi,
Wieczności błękitne widziadło,
Stoi, jak wprzód, bez ruchu,
Choć tyle nań gromów padło.

Tyle nań gromów już padło,
A tu, na zboczy, pod strażą
Szczerniałych złomisk dwie limby
Tulą się k'sobie i marzą.

Tulą się k'sobie i marzą,
Na skalnej zawisłe krawędzi,
Wsluchane w rozgwar potoku,
Co z wierchów słonecznych pędzi.

Z wierchów słonecznych pędzi,
Od gromów, co oniemiały:
Słuchają go limby i marzą,
Do wiecznej się tuląc skały...

Cokolwiek o tem powiecie,
Przed wami nie stanę bosy,
Pętlicy na kark nie zarzucę,
Nie myślę pójść do Kanosy.

Nigdy się nie rwał ku cnocie,
Grzechów spełniłem nie mało —
Cóż robić? Wszak tylko z gliny
Bóg nam ulepił ciało.

Często-m próbował się oprzeć
Na krokwiach dziadowskich ducha —
Pokusa była za mocna,
Podpora moja za krucha.

Z wszystkich mi stron urągano:
„Racze opatrzeć się, bracie!
Mróz, mówią, na psa przychodzi,
Mróz przyjdzie srogi i na cię.

„Nim się spostrzeże twa pycha,
Pewnego wieczora czy rana,
Kostusia się zjawi z klepsydrą
I kosą, niezawołana.

„Skurczysz się, skręcisz i chętnie
Staniesz przed nami, bosy,
Pętlicę zarzucisz na szyję
I pójdziesz rad do Kanosy.

„Jeno że będzie za późno!
Odpadniesz jak puste plewy,
Jak gałąź zeschła, do ognia
Przez Pańskie rzucona gniewy“

Nie troszczcie się o mą przyszłość,
Kraczące kruki wy lubie!
Juże-m ci sam postanowił,
Aby odwrócić swą zgubę.

Gdy przyjdzie mróz na mą skórę,
Co już ci wszystkich nas czeka,
Przywołam ze wsi ku sobie
Najnędnieszego człowieka.

„Dłoń mu uścisknę i powiem:
Chudobaśmy oba, chudoba!
Nie skąp mi swojej miłości,
Nagrzeszyliśmy się oba!“

A zaś stanąwszy przed Gazdą,
Ujrawszy swojego Sędziego,
Przybywam — rzeknę — z nadzieją
I niechże będzie, co będzie.

Juhas-ci jestem pośledni,
Twój pastuch, Panie, lecz owiec
Może-m Ci żadnych nie wypasł,
Cóż ze mną uczynisz? Powiedz!

Nie miałem w sobie pokory,
Nie chciałem nigdy, bosy,
Pętlicę na kark zarzuciwszy,
Wędrować hen! do Kanosy.

Lichy jest ze mnie adwokat,
Lecz dla obrony, mój Boże,
Przytoczę, że tylko przed Tobą
Każdej się chwili ukorzę.

Bo i cóż robić, gdyś taką
Raczył nagodzić mi duszę,
Że by pozbyła się Ciebie,
Żadną jej siłą nie zmuszę?

Dodam też jedno, jeżeli
Zbyt będzie lekka ma waga:
Kochałem najlichsze źdźbło trawy
I człeka, co z losem się zмага.

Najmniejszy listek na drzewie,
Najmniejsza wody kropelka
Czci mojej były przedmiotem —
Tak Twoja władza jest wielka.

Gdybym nie wstydził się ludzi,
Choć ślepi są, głusi i niemi,
Publiczniebym ukląkł na widok
Najmniejszych pyłków ziemi.

Nie moja-ć w tem jest zasługa —
Jakiegoś stworzył mnie, Panie,
Takiego masz mnie —, a jednak
Snać mi się krzywda nie stanie.

Od Siebie mnie nie odtrącisz,
Choć tam ja nie chciałem, bosy,
Pętlicy zarzucać na szyję
I czolgać się do Kanosy.

XXII

Ludzie, kochani ludzie!
Gdybym tak mógł, jak nie mogę,

Wyzwoliłbym waszą duszę,
Na skalną pchnąłbym ją drogę.

Nie wleklebyście się wówczas
Jak błędnych owiec gromada,
Nie wiedząc, ku jakiej przełęczy
Zwrócić swe kroki wypada.

Codziennie ja patrzę na was —
Przy pracy i przy weselu:
Żadnej w was sprężystości,
Sprężystsza jest gałąź chmielu.

Jesteście jak worki plewy,
Rozwiąże je lada chłystek,
Przechylili i z uśmiechem rozsypie
Ten płonny towar wszystek.

Wydaje mi się, gdy widzę
Ten wasz korowód chory,
Że wszelki wygnały wam ogień
Jakieś złośliwe upiory.

A szkoda, że brak wam odwagi,
Albo że siły nie macie:
Dla ócz, oderwanych od dołów,
Świat w innej załśniłby szacie.

Widniałyby wam wierzchołki,
Boskimi wzniesione rękoma,
I ścieżka, co ku nim prowadzi,
Byłaby wszystkim wiadoma.

Męczyłyby się z początku
Wasze niewprawne kroki,

Lecz znójby wam cud wynagrodził,
Ujrzan z tej turni wysokiej.

Te rzędy wierchów pokrewnych,
Z głazu kowane łańcuchy
W czasie, co minął, nim czas się
W tej pustce zagnieżdził głuchej.

Te wanty, lecące w przepaść,
Na której tęcza się kładzie,
Te szumy: wieczyście je śpiewa
Wodospad przy wodospadzie.

Te łoża wymarłych potoków,
Dolin rozległych przekopy:
Kopacz je kopał przemocny,
W kamieniach znać Jego stopy.

Te bezgraniczne przestrzenie
W słonecznej mgłę południowej,
Te lasy, te łąki, te lśniste
Bujnego życia ostrowy.

Te wsie wam nieznane, te białe,
Tak nagle odkryte miasta,
Ten ogrom kopuły niebieskiej,
Co nad tem wszystkim wyrasta,

Ta tajemnica tajemnic,
Która się kryje poza tem,
I On, ten świat niedosięgly,
Władzący gdzieś nad tym światem.

Do tego doszedłszy kresu,
Stanąwszy na takim szczycie,

Uczulibyśmy, jak wolne,
Niekrepowane jest życie...

Ludzie, kochani ludzie!
Gdybym tak mógł, jak nie mogę,
Oderwałbym od poziomów,
Na skalną pchnąłbym was drogę.

XXIII

Takiego, jak kiedyś, zachodu,
Odkąd żyw jestem, nie pomnę:
Fale się ognia rozlały
Na chmur kłębiska ogromne.

Objęły wokrag niebiosą,
Czerwienią przygniotły wzgórza —
W niesamowitych połyskach
Śnać cała ziemia się nurza.

Trwoga wstrząsnęła ludźmi —
Pytali się, przerażeni:
„W jakąż się grozę nieszczęsną
Krwawa ta wróżba zamieni?”

„Czy może głód się przyczolga
Z lebiodą i zwiędłym jarmużem?
Lecz przecież pola w tym roku
Ziarnem sypnęły dużem.

„Czy jakiś Szatan zawistny
W jesiennym zjawi się wicherze,
Podpali pełne stodoły,
W perzynę obróci spichrze?”

„Może w śmiertelnej koszuli
Przez świat przebiegnie powietrze
I zasób jego żywota
Jak pyłek nadrożny zetrze?

„Czy nie chcąc, aby się kiedy
Sny wypełniły spokojne,
Bóg, żądny pomsty i kary,
Okrutną ześle nam wojnę?

„Lecz za cóżby mścił się i karał?
Czy za to, że w walce, widomej
Dla ostatniego ślepcy,
Ścigają nas same rozgromy?

„Czy za to, że w tych rozgromach,
Gdy żadna nam gwiazda nie świeci,
Patrzemy już tylko w nadzieję,
Jak ufne, pokorne dzieci?

„Hej! wszechpotężny ty Królu!
Rozgromicielu otuchy!
Nie daj, by po tym zachodzie
Przepadły o Tobie słuchy!

„Nie daj, by w ludzkiej rozpaczce,
Głębokiej, jak wielkie morze,
Zatonąć miało Twe imię,
Twoje Królestwo Boże!”

Tak z lękiem kłonił się jedni,
Tak drudzy się odgrzała
Z przestרחu, gdy niebo w tej krwawej,
Złowieszczej tonęło fali.

I oto jakżeż się sprawdza
Ten zachód dziwnie proroczy:
Po krańce niepewnej ziemi
Wojna swój rydwan toczy.

Mordercze rozsiewa kule,
Niszczące wszczyną pożary,
A z nią, któż wie, czy nie pełnie
Głód, ten przyjaciel jej stary.

Któż wie, czy nie zechce dopomóc
W tem światoburczem jej dziele,
Choć rok ten pod stopy żniwiarzy
Tak bujnym się żniwem ściele?

A za nim, któż nie wie, że losy,
Na jedną rzucone kartę,
Przyślą nam w straszną gościnę
Powietrze, z rodzeństwa czwarte?

A kiedy takie potęgi
Obejmą tu panowanie,
Czyż dla Bożego Królestwa
Choć jedno serce zostanie?...

XXIV

Nie długo trwała ma radość,
Zrodzona z radości słońca —
Smutek się rozszedł po ziemi,
Żaloba wędruje bez końca.

Wloką się za nią me kroki,
Wzrok mój niepewny się wlecze,

Choć innymby razem świat ten
Weselić mógł serce człowiecze.

Złocą się jeszcze pola,
Pełnią zieleni lśnią drzewa,
Nad owsem niepokoszonym
Ptak mój kochany śpiewa.

Jeszcze mi błękit niebiosów
Wdzięczy się jaknajcudniej
I świerszcze głośno ćwierkają
W żarze sierpniowych południ.

Gdzież powód jakiej żałoby?
Gdzież jest przyczyna smutku?
Ni jedno kwiecie nie zgasło
W naszym przydrożnym ogródku.

I owszem, coraz ich więcej
Jara płonieje krasą:
W królewskiej iście purpurze
Maki się słońcem pasą.

Malwy pieśń nucą rozkwitu,
Pękami bieli strojne,
Jak panny, wielbiące zwycięzców,
Gdy zakończyli wojnę.

Nasturcje aż zbyt natarczywie —
Tyle ich w roku tym mamy! —
Cały nam ganek obległy,
Pchają się w okien ramy.

Zaprawdę! innego czasu
Z podziwubys stawał niemy

Na widok tych naszych georgiń,
Puszystych, jak chryzantemy!

Nagietki, astry i bratki —
Z wszystkimi wzrok się twój spotka —
Błyszczą, jak ciżba weselna,
Pośród naszego opłotka.

Przebujnie się złotogłowiów
Rozsłoneczniła gromada,
Waha się tylko słońceznik,
Choć kwitnie już u sąsiada.

Dlaczego tak się opóźnia
Z wyjawem swojej urody?
Czy skarłał, Bóg wie, z jakich przyczyn?
Czy może jeszcze za młody?

Może o przodku swym słyszał,
Co kiedyś zginął z mej dłoni,
I tak się, tając swe skarby,
Przed ludzką rozpaczą broni?

Może się lęka, by człowiek,
Gdy taka groza nad nami,
Nie zdeptał mu jego korony,
Nie wyrwał go z korzeniami?

Drży, aby go nie oślepił,
Sam on dziś ślepy straszliwie
Na przyszłość, co dzisiaj tak krwawo
Na naszej rodzi się niwie?

Niedługo trwała ma radość,
Zrodzona z radości słońca —

Smutek się rozszedł po ziemi,
Żałoba wędruje bez końca...

XXV

Wierzbo, ty wierzbo stara,
Od tyłu znam cię lat!
Cóż z ciebie zostało? Nic! mara
— Sen mara, tak mówią, Bóg wiara —
Co mi przysłania świat.

Zeszłego jeszcze roku —
Gdzież mi z tym bolem iść?! —
Starczyło, widocznie, ci soku,
Że mogłaś w promieni potoku
Kapać swój siwy liść.

Starania są niemałe —
Chciał ci dopomóc człek:
Na życia nowego pochwałę
Gałęzie obciął spróchniałe,
Zwiódł niezawodny lek...

Siekiery gdzie, topory?!...
Tak musi los się pleść!
Zła gawiedź wylazi z swej nory,
Z ostatniej obłupia cię kory,
Hańbi twą dawną cześć...

Szczęśliwe tve sąsiadki...
Mimo stoczonych pni,
Choć zda się już ich ostatki,
W wiosennych swych pędów przegładkiej
Koronie każda lśni.

Gdzie latorośle twoje?
Gdzie świeżych pędów wian?
Gdzie liści srebrzystych są roje?
Aż sam ja się pytań tych boję,
Na łaskę losu zdan.

O wierzbo, wierzbo miła,
Sąsiadko moich snów!
Sny wszystkie pochłania mogiła,
Nie będziesz o wiosnie już śniła —
Upadniesz w grób swój, rów!...

Przywołać tu rębaczy!
Nie! kopnąć nogą dość!...
Nie może snąć ginąć inaczej,
Co świat już li próchnem swem raczy,
Co już nie zdoła rość.

A jednak żal mi ciebie —
Každyby żal ten czuł:
W słonecznej wyrosłaś kolebie,
Dziś los twój tak marnie cię grzebie:
W przydrożny padasz muł...

XXVI

A może w straszliwej zawiei,
Co świat ten naokół niszczy,
Nie same li gruzy wyrosną,
Nie same li kupy zgłiszczy?

Może w zapasach olbrzymów
Zło się nareszcie przełamie

I Bóg już na jego miejscu
W ludzkim zamieszka chramie?

Może to chwila przebudzeń,
Gdzie, wstydząc się swojej gnuśności
Zbyt długiej, uczuje człowiek,
I że stalowe ma kości?

Miast kajdanami podzwaniać
I rzewnie olzawiać się bolem,
Być może, zbawcze gdzieś wyjście
Okiem wysledzi sokolem?

Nie! szukać-ci go nie będzie,
W chytre rachunki bogaty,
Lecz piersi wypręży i ręce,
Więzienne roztrzaska kraty.

Pod pięścią jego, silniejszą
Od najtwardszego młota,
Rozpręgna się rygle i zamki,
Żelazne rozprysną wrota.

Oby ta wielka godzina,
Co taką nadzieję nieci,
Stała się dziś już naprawdę
Przepełnieniem stuleci!

Oby wbrew wszelkim pojęciom
Dowodów przyniosła nam rada,
Że oto z dwojakiej wieczności
Jedna się wieczność składa.

Że po wieczności, co legła
Przy dzwonie tego zegara,

Nikt w czarnej nie chodzi sukni,
Nikt po niej się płakać nie stara.

Że zasię nowa się wieczność
Z krwawej poczyna rzeki,
By dziękczynnego Te Deum
Słuchać po wieków wieki...

Niech otwierają się rany,
Niech krew się leje dowoli,
Byleby wieczność ta wzrosła
Z tak umierzwionej roli.

Na bohaterskim niech stosie
Najlepsze konają serca,
Skoro podpali go wiara,
Że wieczność ta nie uśmierca.

Że chociaż wszystkoby stłało,
To jeszcze z jakiegoś ukrycia
Zaczną się sypać iskry
Na bohaterski stos życia.

Napewne, napewne, napewne —
Niechże ta pewność mnie krzepi!
Czas idzie, gdzie głusi usłyszą
I w którym już przejrzą ślepi.

Czas idzie nieprzewidziany,
A może przewidzian wielce
Przez dusze, co światów bezmiary
W miernej dowidzą kropelce.

XXVII

Coś się zmieniło na świecie —
Godzina dziś strasznie jest smutna!...
Na łące, nad brzegiem rzeki,
Szare się bielą płótna.

Mieliśmy kiedyś zaćmienie —
Coś się dziwnego stało...
Jako? Twój byt się rozdziwił?
Od ducha odpadło ciało?

To cień twój jest własny? Czy może
Kto inny za tobą kroczy,
Którego widmo jedynie
Widzą pijane twe oczy?

Czy nie słyszałeś, mój druhu,
Co uradzono tam w górze?...
Gdzież komu legiwać tak długo?!
A nuże! wstawać! A nuże!

Wczoraj na wczesny podwieczerek,
Czy też o późnej północy
Śmierć się zakradła pod bramy,
Waliła w nie z całej mocy.

Nikt nie był rad jej otwierać,
Zbyt krwawa, zbyt jest okrutna — — —
Na łące, nad brzegiem rzeki,
Szare się bielą płótna,

Słuchajcie!... Słyszycie?!... Do czarta!
Czy wam zalepił kto uszy?

Nie mają grać komu grajkowie,
Żaden z nich smyczkiem nie ruszy.

Przypęzli od krańców piekła —
Czerń przenajśmieszniej dobrana:
Coś wypaliło im ślepie,
Pogruchotało kolana.

Dajcie im kromę chleba,
Chociaż ich słuchać nie chcecie!
Wargi ich zwiędły fiolet —
Umarli chodzą po świecie.

A może to wszystko jest kłamstwo?
Koszmarna jakowaś złuda?
Patrz! słońce las oprómienia,
Po ziemi rozpręda swe cuda.

Gdzieś w polu ktoś ostrzy kosę —
Tak świat to, nie bajka wierutna!...
Na łące, nad brzegiem rzeki,
Szare się bielą płótna...

O cóż to chciałem się pytać?
Nie wiecie też, przyjaciele,
Jak? Czemu? Gdzie? Kiedy?... Nie! pytań
Mam-ci w tych sakwach za wiele!

Jedno mi tylko wyjawcie,
Bo ja dziś tego już nie wiem:
Czy prawda, że Bóg się na zawsze
Swem własnem spalił żarzewiem?...

Zapytam się tego drzewa,
O listki jego potrącę —

Nawymowniejsze języki
Stały się dzisiaj milczące...

O liście! wy liście zielone,
Przyjazne mi dzisiaj, jak zawdy — — —
A jeśli kto głośno zagada,
To nie, by dowiedzieć się prawdy...

Każdy ją tai przed sobą,
Miałby-ż ją wyznać innemu?
O liście, zielone liście,
Gdzie? Kiedy? Jak? Czemu? Czemu?...

Rzecz dziwna! Pod memi stopy
Bujny pęk trawy szeleści,
A przecież o niebios szaleństwie
Ktoś pewne mi przyniósł wieści...

Porwały się, mówił, rzemienie
I tabun bezmięsnych koni —
O liście! wy liście zielone,
Pijany pijanych goni!...

Pono swój los wyprzedziła
Dola, z pośpiechu rozrzutna — — —
Na łące, nad brzegiem rzeki,
Szare się bielą płótna...

XXVIII

A ci, co zaznawszy znoju,
Legli na wieki w tym boju,
Niech spoczywają w spokoju.

Pokładłeś ich, Panie Boże,
I żaden już powstać nie może
Na tym skrwawionym ugorze.

Skosiłeś ich ostrą kosą
I już swych głów nie podniosą,
Krwawą obmytych rosą.

W żołnierskiej, starej odzieży,
We krwi skąpany świeżej,
Hufiec przy hufcu leży.

Nim osunęły się plecy,
Któż w świętej trosce kobiecej
Gromnicznej nie skąpił im świecy?

Któż im przymykał powieki,
By ślepo szli w odmęt daleki
Wszystko chłonącej rzeki?

Aby ich uczcić i siebie,
Któż myślał o godnym pogrzebie,
Jak każą na ziemi i niebie?

Bez ojca usnęli i matki
I leżą poblądłe, by płatki,
Na tej pościeli tak rzadkiej.

Na tej pościeli tak krwawej
Z śmiertelnej legli obławy,
Czekają odejścia nawy.

O nawo ty przecierpliwa!
Twych żagli całunne przędziwa
Wichr ostateczny podrywa.

Odplyń! nie czekaj tak zdradnie,
Ze ci ich więcej wypadnie
Zgarnąć i zmieścić na dnie.

Psy-wichry urwały się z smyczy —
Odplywaj! masz dosyć zdobyć,
Już o nią głąb morza nie ryczy.

Już paszcza ziemi niesyta
O dalszy karm się nie pyta,
Krwia przepelniła jelita!...

Odchodzą w nieznanne strony —
Ni siostry ni lubej żony
W tej chwili niewyprzedzonej.

Ofiar zbrodniczych stuleci
Nie ujrzą już drobne dzieci —
Przestrach im w oczach świeci.

Idzie ich biedne mrowie,
Prowadzą je ręce wdowie
I staruszkowie-dziadowie.

Niejeden chyba miał brata —
Pewnie nim burza pomiata
Na drugim krańcu świata.

A może też u rubieży
Przy bracie rodzonym leży,
We krwi ubroczonej świeżej.

Może ich rzucą pospołu
Tu do spólnego dołu,
Spólników krwawego mozołu.

Zali braterskim zwyczajem
Spojrzą na siebie wzajem,
Spólnym idący krajem?

Pod spólną kroczący władzą,
Gdzie świat się przyobłókl sadzą,
Czyż sobie ręce podadzą?...

Oczyś wyłupił im kulą,
Łokcie bez dłoni się tulą
Pod zakrwawioną koszulą...

Dajże im, groźny Panie,
Wieczne odpoczywanie,
A ziemia niech ze krwi powstanie!...

XXIX

Wesołą wam powiem nowinę,
Weselszej dziś nikt wam nie powie:
Wczorajszej nocy, z północks,
Przybyli do mnie grajkowie.

Wyrwali mnie ze snu — i owszem!
Krzyw im nie jestem za to:
Księżyc przecudnie się łasi,
Ciepłe głaszczące lato.

Drzwi im otwieram na oścież...
Jakoś są dziwnie pobledli — —
Od światła snąc miesięcznego...
Proszę, ażeby usiedli.

Uśluhać nie chcą mej prośby,
Na miejscu jak wryci stoją —
Jak przyszli grający, tak grają
Pieśń ulubioną moją.

Dzięki wam, dzięki!... Lecz może
Trochę wypocząć raczycie?
Życie nie samym jest trudem,
I wypoczynkiem jest życie...

Rad jestem waszemu przyjściu
I wy też będziecie radzi:
Strudziła was długa wędrówka,
A skądże to Pan Bóg prowadzi?

Zdaleka, widać, idziecie — — —
Czek się na wieści łakomi...
Przyglądam się waszym obliczom:
Znajomi, czy nieznajomi?

Hej! raty! przeraty! Dyc niema
Żadnego wątpienia! wy nasi!
Witajcie, kochani bacowie,
Witajcie mi, drodzy juhasi!

Żegnali my się niedawno —
Ktoś szepnął, że może na wieki!
Żartował, boć znów się witamy,
Nie dzielą nas góry ni rzeki.

Á ponoć w cudze wy kraje,
W cudze poszliście miasta?
Cud wam się zjawił niejeden —
Gadać! Ciekawość ma wzrasta...

Cóż to? milczycie? Dlaczego?
Czym nie wart jest odpowiedzi?
Żyję, tak! żyję, to prawda!
Lecz zbrodzień we mnie nie siedzi.

Słyszałem i inni słyszeli,
Że gdzieś tam na świecie jest wojna,
Może zły duch was tam zagnał?
Obmierzła wam dola spokojna?

Rozumiem: nie hyrnie jest gnuśnieć
Przy brzęku zberkadeł jedynie!
Surma i bęben to życie!
Krew w was rycerska płynie.

Huk dział, świst kul to mi granie,
To wieków potężna muzyka!
Do śmiechu z waszemi skrzypkami,
Nie trzeba waszego smyka!

Czekać! Poczekać! Chwileczkę!
Znam-ci ja swojską tę nutę —
Słyszałem ją w lepszych czasach,
Dziś czasy lute, przelute!

„Trupami zasłane pola — — —“
Wiem o tem! Wszak stare to dzieje!
Pieśń już ograna! Lecz grajcie!
Niechże me serce się śmieje!

„Pola zasłane trupami,
Bóg zadrwił z śmiertelnych ludzi,
Piekło niebiosom niechętnie,
Niebiososa do mordu judzi.

„I niebo, straciwszy zmysły,
Same ze sobą w zwadzie,
Przepuścić nie chce nikomu,
Jednego po drugim kładzie.

„Mnie poraziło ołowiem,
A tego, widzicie, żelazem,
Juhasowali my razem
I teraz gramy wam razem.

„Ten w kole tem naszym trzeci
Dychał-ci jeszcze przez chwilę —:
„O was się oprę, druhowie,
Podźwignę się i wysilę“.

„Podźwignął się i wysilił,
O martwe się oparł ramię,
Przymrużył powieki i czeka,
Zali nadzieja nie kłamie.

„Nie zdążył przekonać się o tem — —
Bóg zbytek nadziei karze:
Po zbiórkę w żniwnej spiekocie
Przyszli żniwiarze-grabarze.

„Sprzątnęli, co trzeba sprzątnąć,
I razem z naszym, aż miło,
Stowarzyszyli mu serce,
Choć serce to jeszcze biło.

Ten czwarty — — Grajkowie my twoi.
Z miesięcznej przychodzimy dali,
Wszak naszą lubiłeś nutę,
Przez życie ci będziem grali...”

Będą mi grali przez życie
Ci moi drodzy grajkowie!
Słuchajcie tej wieści wesolej,
Weselszej dziś nikt wam nie powie.

XXX

Więdnicie już moje liście,
Szczególne żrą was upały:
Wicher roztrawia jesienny,
Warzy przymrozek biały.

Zawczasie się na was zaprzysięgił
Tworzyciel żywotoburczy;
Zda się, że ziemia się ściąga,
Że krąg się słoneczny kurczy.

Ścieżyną krocę rozmokłą,
Losy mnie świata prowadzą
Ku mglistej, obłędnej dali —
Pod waszą przystaję władzą.

Otwarte mam oczy, więc widzę,
Jak tyle was cicho opada
Na błotne przydroża, gdzie waszych
Tysiączna już leży gromada.

Otwarte mam uszy, więc słyszę,
Jak nowy orkan się żenie
Gdzieś stamtąd i drzewom mym drogim
Nowe obwieszcza zniszczenie.

Nie ubezwaładził mi kroków
Przypadek błogosławiony,

Więc idę przed się i idę,
Śmiertelne mijając plony.

Chciałbym, zaiste, być ślepym —
Szczęśliwi bywają ślepce! —,
Aby nie widzieć zagłady,
Co świat, wczoraj żywy, depce.

Chciałbym, zaiste, być głuchym —
Szczęśliwi bywają głusi —,
Aby nie słyszeć rżenia,
Co gdzieś tam krtanie dusi!

Chciałbym, zaiste, być chromym —
Szczęśliwi bywają chromi,
Nie pójda z wyścigiem ze śmiercią,
Jej pośpiech ich nie złakomi.

Jak, kiedy to wszystko się skończy,
Aże pomyśleć się boję —
Więdniecie coraz to bardziej,
Kochane olchy moje!

Jesiony, co swoją wiosnę
Przelewałyście mi w duszę,
Jakże mi straszno, że w taką
Godzinę żegnać was muszę!

Innego czasu — mój Boże!
Każde żegnanie nas boli. —
Pocieszałbym się jak człowiek,
Druh smętku i melancholji!

Lecz dzisiaj — o buki czerwone,
Regli podskalnych stróże!

Zda mi się, że w waszej czerwieni
Krwawe li widzę kałuże.

Zda mi się, o kraśne jawory,
Że wasze płomienne plamy
To potop, niszczący wszystko,
Co tylko w sercu mamy...

Więdniecie już moje liście —
Szczęgólne żrą was upały:
Wicher roztrawia jesienny,
Warzy przymrozek biały.

XXXI

Pozółkły znużone pola,
Niebiosą coraz to bledsze,
Żądnymi piersiami chłonę
Ciche, jesienne powietrze.

Rozglądam się naokoło —
Niebujnie tu, niebogato,
A przecież mi nie żal dzisiaj,
Że się prześniło lato.

W tej pustce, w tem wyczerpaniu,
Które mi w oczach rośnie,
To samo odczuwam życie,
Jak w pełnej, kwitnącej wiośnie.

Przystaję na długiej miedzy,
Ku rżyskom nakłaniam lica,
Z powiędłych kępek ta sama
Wyziera mi tajemnica.

Mgły jakieś nieuchwytnie
Las osnuwają bury,
Nieśmiało migocą w słońcu
Śniegiem pokryte góry.

Uroczą, smętną martwota,
Zda się, iż śmierć jest gdzieś bliska.
Na pochyłościach wierchu
Jesienne dymią ogniska.

Nieletni, wątły pastuszek
Okiem mnie wita lekliwie —
Jeszcze się było pasie
Na tej wychudłej niwie.

Jeszcze jest jakaś czerstwość
Na niwie tej wypalanej —
Z wraskiem niesamowitym
Wkrąg się zwołują wrony.

Gdzieś lecą, gdzieś giną w dali,
Wzięły ze sobą zmorę —
Garść pełną zoranej gleby
Do chciwej ręki biorę.

Upajam się jej zapachem,
I dzisiaj tak samo on świeży —
O rodzicielko żywota,
O święta, płodna Macierzy!

O skarbie ty mój najdroższy,
Rozstać się z tobą nie mogę —
Zielone jeszcze sitowie
Z uśmiechem zaszło mi drogę.

Na gruzem zasłanej miedzy
Jałowiec krzewi się młody,
Dziś barwy mu odmieniły
Fioletowe jagody.

Skąpo się fala toczy
Potokiem, co wysechł w lecie,
Z pomiędzy chwastów nad brzegiem
Samotne żółcieje kwiecie.

Ostatnie to już zapewne!
O innych nie usłyszycie,
Lecz ja w tej pustce dzisiejszej
To samo odczuwam życie.

W tem wyczerpaniu, co dzisiaj
Świat tak cudownie mroczy,
Ta sama wszak tajemnica
Dziwem otwiera mi oczy.

Powiędły, przymarły pola,
Niebiosa coraz to bledsze,
Żądnymi piersiami chłonę
Ciche, jesienne powietrze.

XXXII

Gdzie znaleźć spokój, gdzie duszę
Ukoić nieukojoną?

Modrzewie straciły swą zieleń,
Złotem kosztownem płoną!

U wierzb podnóża, przy drodze,
Powiędłych liści gromada —

Z koron, drzemiących w słońcu,
Jeden za drugim pada.

Z tak słodką opada ciszą,
Tak się odrywać umie
Od życia, że śmierci nie czujesz
W niedoszłym szumie.

Ostatniej czekają chwili
Jawory, w łysk bronzów strojne —
Czyżbyś pomyślał, iż pewność
Walną przegrywa wojnę?

Czyżbyś pomyślał, mój bracie,
Że nieruchome te brzozy,
W płomienny odziane jedwab,
Zimowej już pełne grozy?

Coś niezwykłego się zbliża —
Widnąż dla oczu strona?...
Modrzewie straciły swą zielen,
Złotem kosztownem płoną...

Idziemy daleko, bracie,
Może cię droga ta męczy?
Oprzyj się razem ze mną
Na tej szerniałej poręczy.

Podobny do ciebie człowiek
Zbudował ją kiedyś, przed laty,
Mostu-ci ona strzeże,
Most, widzisz, niebogaty.

Za lada krokiem się chwieje,
Lecz przejść go się odważymy,

Inaczej nie puści nas przepaść,
Mgławami ziejąca dymy.

Mamy-ż się wracać ze strachu?
I po co? Wygrana karta!
Lato zostało za nami,
Przed nami jesień otwarta.

Wdzięczy się ku nam, uśmiecha
Twarzą — śmiertelnie-ż czerwoną?
Modrzewie straciły swą zielen,
Złotem kosztownem płoną.

Wąwozem potok się toczy,
W odwieczne ściany ujęty,
Białawe błękity nieba
Bielą mu białe męty.

Okiełzał swój dawny rozpęd,
Dla brzegów kamiennych wraży,
Zaledwie szepce ze sobą,
O swoim ujściu marzy.

Olchy obsiadły krawędzie
Zamierającej rzeki,
Po fiolecie ich kory
Blask ślizga się daleki.

Gałąź zwiędłego powoju
Po gładach zwietrzałych pnie się,
Z trudem utrzymać się zdoła —
O cichy, bezwładny kresie!

Opadnie i zgnije... Czyż lek to
Na duszę nieukojoną?

Modrzewie straciły swą zieleni,
Złotem kosztownem płoną.

XXXIII

Chodzący w ten czas jesienny
Po ściernisk zółkłej pustyni,
Miewam niekiedy wrażenie,
Iż pustka w mej duszy się czyni.

Może to złuda upiorna,
Co innych już nie zadziwia,
Zrodzona z widm drzew nadrzecznych,
Z ich powiędłego liściwia?

Może to koszmar tylko,
Zesłan na człeka, co wszytek
Pełen był pychy niewczesnej,
Że mnogi już zgarnął dobytek?

Nie będę się pytał o to —
Wiew suche trawy potrąca;
Snać wysuszyła mi duszę
Ta jesień, ciszę niosąca.

Czy padnę, jak gałąź odcięta,
Czy w bujny się ogród rozplenię —
Żem duszę swą wyjąłowił,
To miewam niekiedy wrażenie.

I lękam się o jej losy,
O przyszłość niespodziewaną,
Gdy ręce opadną zgrzybiałe,
Gdy stopy w niemocy staną.

Jakiego tchu też zachwyci
I jakim głosem zawoła,
Skoro jej oczy rozwidni
Płomienny miecz Archanioła?

Czy wstydem się spali, czy duma
Szczęsne jej wnętrze rozeprze,
Skoro Majestat Sądu
Oddzielać będzie, co lepsze?

Kiedy Potęgi Majestat
Złoży swą dłoń na jej ramię,
Wytrzyma-li próbę tej wagi,
Czy też się pod nią załamie?

Gdy trwania wiecznego nadzieja
Do głębi jej dotrze, do dna,
Nie będzie-li szepnąć zmuszona:
„Ja tego nie jestem godna“?

Takie mnie dręczą pytania,
Te nieodparte męczarnie,
Ilekoć mnie ciszy potrzeba
Jesienną wonią ogarnie.

I oto, widząc w tem polu,
Jak brat mój zagon swój orze,
Chciałbym, ażeby w mą duszę
Plugi się wryły boże.

Rząd radeł, jak świat ogromnych,
A twardych jak brak zmiłowania
Na niebie w godzinę pomsty,
Niech wnętrze mej gleby odślania.

Niech skibę odwala za skibą,
Bruzdy swem żłobi żelazem,
Głębokie, jak żądza, by niemi
Bóg chodził z człowiekiem razem.

Nie będę miał wówczas wrażenia,
Że jesień ta, ciszę niosąca,
Na nic się zdobyć nie umie,
Tylko liść zwiędły roztrąca.

Że stwarza li widma nadrzeczne
Drzew, wczoraj pełnych żywota,
I że li w szychy się stroi,
Choć tak na pozór złota.

Nie będę miał wówczas wrażenia,
Czy prawdą jest ono, czy złudą,
Żem duszę swą wyjąłowił,
Jak glebę ponadmiar chudą.

XXXIV

Któżby się tego spodziewał,
Że jeszcze dziś, w listopadzie,
Rój pszczół na krzewie kwitnącym
Z chciwym pobrzękiem się kładzie.

Zwiądl nasz ogródek, zostało
To jedno jedyne kwiecie —
Szron go już, widać, poranny
Z tej pustej grzędy nie zmiecie.

Śnieżną mieliśmy kurniawę,
Ostre już były przymrozki,

Lecz on się im oparł, ten prosty,
Ten kwiat tak przedziwnie boski.

Nieznane mi jego miano —
Do dziś nie powstało mi w głowie,
By kogokolwiek się spytać,
Jak się też dziwo to zowie.

Takie to niepozorne,
Szatki ma takie przeszkromne,
Że mniej przepychu i blasku
W krainie słońca nie pomnę.

Przecieżbym gotów zawołać,
Wlepione mając weń oczy,
Że krzak to jest gorejący
Synajski objaw proroczy.

W jego błękitnych płomykach,
W gwiazdek koronie wesołej
Wielka się kryje Łaskawość,
Co skrzętne przyzywa pszczoły.

Głos-ci to miodem zaprawny,
Wezwanie pełne słodczy,
Choć żaden z tych drobnych puharów
Zbytkownem złotem nie krzyczy.

Nie widzę ja ulów w tej wiosce,
Są gdzieś daleko, lecz uszy
Ma owad wrażliwe, zdaleka
Rojami na głos się ten ruszy.

Przyleci pod krzak gorejący,
Co jeszcze nie przekwitł w ogrodzie

Pod ścianą mej chaty, i z brzękiem
Na jego używa miodzie.

Wpija się w jego kielichy —
Żadna go moc nie odgoni —,
Tak się lubuje ród pszczeli
W tej lepkiej, żywotnej woni.

Z pomiędzy chmur, zapowiedzi
Snać bliskiej, śniegowej burzy,
Czasami słońce zabłyśnie,
Radością mu swoją zawtórzy.

I we mnie są jakieś błyski —
Widocznie ma dusza jest rada,
Że widzi i kwiat i te pszczoły
W tych mrocznych dniach listopada.

XXXV

O służebnico w mym domu —
Służebni jesteśmy oboje,
Wartujem u bram wieczności,
Na losy czekając swoje.

Niedawnośmy się poznali,
Niedawno jesteśmy razem,
A zda się, żeśmy od wieków
Bożym złączeni rozkazem.

A zda się, że nasze spotkanie,
Dziś mego życia treść cała,
Odbyło się w czasach, gdy pamięć
Oczu ni uszu nie miała.

Gdy żądza wędrówki w przyszłość
Krok jeła stawiać ubogi,
Świadoma bezwładu swych skrzydeł,
A nieświadoma drogi.

I oto od onej pory,
Spowitej w pierwocin żłobie,
Byliśmy ze sobą razem,
Nie wiedząc wcale o sobie.

W nieznaną wybrawszy się podróż
Po grudzie, czy trawie miękkiej,
Rękaśmy w rękę szli światem,
Nie znając wcale tej ręki.

A na przystankach wytchnienia,
Przepastnym śpiesząc okrajem,
W żreniceśmy sobie patrzyli,
Swych żrenic nie widząc wzajem.

Ogień się wpijał nam w ogień,
Fala gubiła się w fali,
Że nasze to były usta,
Czyśmy to przeczuwali?

Cnotami szliśmy i grzechem,
Dumni i przygnębieni,
Nie myśląc o tem, że właśnie
Cienie to naszych cieni.

Aż dotarliśmy do kresu —
Jak trudno do niego się dostać! —,
Gdzie życie w swój kształt się ubiera,
W swą rzeczywistą postać.

Niewielki jest dom tego życia
I niewysokie są ściany,
Śród których przyciskam do serca
Skrzoń służebnicy kochanej.

Ale za niemi, za progiem,
Za okien tych wąskich parą,
Świat się rozciąga bezmierny,
Tęsknotą wypełnion starą.

Pradawną odwieczną tęsknotą,
Więzioną w głębinach ducha:
Niekażdy ją w sobie dostrzega,
Niekażdy głosu jej słucha.

Lecz my, z łatwością czy z trudem,
Pełniąc swój szarwark powszedni,
Ku oknom zwracam źrenice,
Niezwyczajnie bogaci, choć biedni.

Pod wieczór, gdy życie się kąpie
W uspokojeniu przebłogiem,
Słuchamy, czy głos się odzywa
Za domu naszego progiem.

A jeśli orkan się zerwie,
Oddechy niosący boże,
Rozparlibyśmy te ściany,
By w wiecznym go chłonać przestworze.

Od wieków śmierć k'nam się skrada,
Z dniem każdym pośpiech jej rośnie,
Radośnieśmy życie przyjęli
I śmierć przyjmujemy radośnie.

O służebnico w moim domu —
Służebni jesteście oboje,
Wartujecie u bram wieczności,
Na losy czekając swoje...

XXXVI

Chciałbym otwierać dziś serce,
Jak wiosennego rana
Otwiera bramy kościoła
Ręka zakrystjana.

Chciałbym, ażeby promienie
Rozbudzonego świata
Wpływały w tę moją świątnicę,
Jak rzeka, co w morze ulata.

Jaśniej od słońc najjaśniejszych,
Od rzek najwspanialszych rozrzutniej
Niechże mi płyną do głębi
Razem z otwarciem wrótni.

Niechże wypełnią mój kościół
Po wszystkie ściany, do pował,
Gdziem Wielki Ołtarz dla Niego
Z swoich uwielbień zbudował.

Może naonczas, gdy wewnątrz
Taka mi jasność zaleje,
Jasną zobaczę źrenicę,
Że się spełniają nadzieje.

Że On, który sam jest jasnością
I lubi wiosenną radość,

Do mej wstępuje katedry,
Co tak Mu czyni zadość.

Co tak Go wita weselnie,
Tak Mu się cała odśłania
Bez mroków, drzemiących po kątach,
Bez posepnego dumania.

Chciałbym otwierać dziś serce,
Jak wiosennego rana
Otwiera bramy kościoła
Ręka zakrystjana.

Ale dziś widzę, że zmierzch jest
I że w tę moją świątynię
Blask świata-rozbudzonego
Rozrzutną rzeką nie wpłynie.

I nie urągam Ci za to —
Te jedne li wznoszę modły,
Ażeby kroki Cię Twoje
Ku moim progom zawiodły.

Wstępuj w nie — wszystko mi jedno,
Czy serce rozjaśnisz, czy może
Jeszcze je bardziej zaciemnisz,
Rad je przed Tobą otworzę.

Wszystko mi jedno, czy wstąpisz
Do głębi chciwego wnętrza
Jak grzmot i grom i łyskanie,
Czy jako cisza najświętsza.

Czy jako żądza potężna,
Czy wyrzeczenie, to jedno,

Bylebyś tylko rozpierał
Wnętrza mojego sedno.

Bylebyś tylko je uznał...
Tego ja przecież się boję,
Czy będzie Cię mogło ogarnąć
To mroczne dziś wnętrze moje?...

Chciałbym otwierać dziś serce,
Jak wiosennego rana
Otwiera bramy kościoła
Ręka zakrystjana.

XXXVII

Padłeś zdaleka od swoich,
Za cudzą walczący sprawę —
Wroga zagnała cię przemoc,
Złośliwe losy krwawe.

Ty dziecko polskiego ludu,
Krainy w nieszczęścia żywej,
Pamiętam serce tve młode,
Wezbrane dolą ojczyzny.

Pamiętam ongi tve listy,
Te proste, niewprawne słowa,
Które mi ze zgrozą przemawia
Ta nasza skarga wiekowa.

Wróg was zamyka w koszarach,
Serce mundurem wam ściska,
Aby w niem stłumić tęsknotę
Do rodzinnego ogniska.

Język wydziera wam z gardła,
Bez miłosierdzia oniemia,
Byście się ozwać nie mogli,
Gdy własna zawoła ziemia.

Majaki wam stawia przed oczy,
Obrazy kłamliwej siły,
Abyście praw się zaparli
Do dni, coby chwałą świeciły.

Byście, wróciwszy do domu,
Potęgą wroga olśnieni,
Własnych zaparli się przodków,
O pomstę krzyczących cieni.

Byście te przyszłe szeregi,
Co z waszej krwi powstać mają,
Zaprzającym łączyli węzłem
Z nieprzyjacielską zgrają.

Byście bez żalu je wiedli,
Butę mający na przedzie,
Do walki o przyszłość nie swoją,
Jak on was dzisiaj wiedzie...

Zali już niema na świecie
Karzącej Sprawiedliwości,
Że tak haniebnie kłaść musim
Do grobu strudzone kości?

Nie! Nie! Ja przecież mam w głębi
Resztę — czy złudnej otuchy? —
Że miecz, jeśli fałszem hartowan,
Łomliwy się staje, kruchy.

Padłeś zdaleka od swoich,
Ty synu polskiej Macierzy,
Dziecko tej krwi, co daremnie
Rozlewa się coraz szerzej.

Moc poświęciwszy młodzieńczą,
W zamkowymś spoczął ogrodzie,
Nad straszną podobno-ć rzeką
O mętnej, czerwonej wodzie.

Jeśli nie zmiotły granaty
Już ostatniego w nim drzewa,
Niechże ci ogród ten głucho
O twej zagrodzie śpiewa.

O twoim domu ubogim
Niechże ci szumi ta rzeka,
Jeśli w niej krew nie stężała,
Co dawno na kres swój czeka.

XXXVIII*)

Okrutny mam codzień widok,
Co snąć mi duszę rozdepce:
Obok mych okien przechodzą
Biedni żołnierze-ślepcy.

Parami idą pod rękę,
Kijkiem macają ziemię —
Wspomnienie zgasłego słońca
Pod pustą powieką drzemie.

*) Wiersz ten, który autor napisał we Lwowie 29 kwietnia 1917 r., został wydany na osobnej karcie dnia 3 maja 1917 r. we Lwowie, jako pamiątka z wystawy dzieł sztuki, przeznaczonych do rozlosowania na fundusz warsztatów dla ociemniałych inwalidów wojennych.

Patrzą przed siebie, nie widzą,
Smutek pokrywa im lice,
Stracili bogactwo żywota,
Skarb przenajdroższy, żrenice.

Potyka się jeden i drugi,
Zamyślon, ach! w jaki też sposób
Zobaczy tę radość, kwitnącą
Na twarzach najbliższych osób.

Potyka się jeden i drugi,
Zamyślon nad łanem zieleni:
Choć skąpo on zasian, swym czarem
Nie dla ich oczu się mieni.

O ziemio, ty nasza macierzy,
Czy na to li rodzisz swe dziatki,
Ażeby, omackiem kroczący,
Padali na drodze gładkiej?

Na krwawą ruszyli wojnę,
Nadzieja powrotu nie mami:
Czas przyszedł, iż z pola wrócili,
Ale wrócili — ślepcami.

Wita ich matka i żona,
Dzieci witają rodzone:
„Hej, synu! hej, mężu! hej, ojczel!
W rodzinną wróciłeś stronę!

„Krzyż masz na piersiach i medal,
Wart jesteś największej chwały,
Tak mówią, tak wielbią tve czyny,
Lecz gdzież się tve oczy podziały?!“

Zdaleka dochodzi ku mnie
Huk armat — słucham go słuchem,
Na krwawą wieść wytężonym,
W zwątpieniu tonący głuchem.

Może to grzmot jest, nic więcej —
Powszednie juści zjawisko
W upalnym lecie i dzięki,
Że tak daleko, nie blisko!

Czerwoną nie błysnie wstęgą
Nad szczytem naszego domu,
Cicha nie spłonie zagroda,
Jesiony nie padną od gromu.

Niewiasty biegać nie będą
Z rozpuszczonemi włosy,
Łkające i niewiedzące,
Jak groźne powtrzymać losy.

I ja, ujrawszy, że nic już
Ofiary ocalić nie umie,
Nad kupą zgorzelisk i gruzów
W martwej nie stanę zadumie.

O szczęście! O wymarzona,
Spokój budząca radości!
Naoścież drzwi są otwarte
Dla ciebie, najdroższej z gości.

Zamykać wrót swego wnętrza
Nie ma już serce ochoty,

Tak je upoił, roztańczył
Nadziei puchar złoty.

Huk się powtarza... Do ziemi
Niepewne przykładam lice:
Świadoma jest rzeczy nieznanych,
Wyjaśni mi tajemnicę.

Powiedz-że, Matko, co znaczy,
Głuchych łoskotów nawąta?
Lecz ona — czy z przerażenia?
Milczy, trzęsąca się cała.

Zali naprawdę, jak mówią,
Szatan wyruszył z podbojem
Przeciwno niebu i echa
W szaleństwie rozbudza swoim?

Nie! Nie! to tętent po moście,
Wzniesionym nad oną rzeką,
Co fale toczy ku morzu,
W toń, zanikowi daleką.

Przypomniał sobie przyjaciel
Dawnego przyjaciela:
Uszedł mu kiedyś z pamięci,
Dziś mu nie skąpi wesela.

Z złocistej dziś wywiódł stajni
Czwórkę najlepszych koni
I, zniecierpliwion czekaniem,
Po moście, tętniący, goni.

Witaj-że druha mój luby!
Nic, że przyjeżdżasz po czasie!

Naoścież drzwi są otwarte,
Serce na sercu zna się.

Zamykać wrót swego wnętrza
Nie ma już żadnej ochoty,
Tak je upoił, roztańczył
Nadziei puchar złoty...

Dawno od naszych progów
Wszelaki pył odmieciono,
A druha niema... Hej, Ziemio,
Czemu tak drży twoje łono?

Azali myślisz naprawdę,
Że gdzieś, w tamtej stronie, za nami,
Giną rodzone twe dzieci,
Jak wrogci, walczące z wrogami?

Że huk ten, nie grzmot i nie tętent,
Z pod kół potwornych wyrasta
Jakiejś maszyny potwornej,
Co wieś druzgoce i miasta?

Że kędy przeszły te koła,
Zostają tylko pustkowia,
Olśnione łuną pożarów,
Jęk starców i rozpacz wdowia?

Że razem z przeszłością, co pada,
We własnej krwi zatopiona,
I wielka też przyszłość tonie,
Darmo podnosząc ramiona?

Nie! Ziemio, Matko najmilsza,
Żle uszy moje słyszały!

To echa górskie! Tam, w górach
Ktoś twarde rozsadza skały.

Jest granitowy materiał
Na drogi, domy, kościoły!
Jakież to świat widzą oczy,
Jakżem ja dzisiaj wesoły!

Zamykać wrót swego wnętrza
Nie ma już serce ochoty,
Tak je upoił, roztańczył
Nadziei puhar złoty...

XL

Pali się świat naokoło,
Niechże goreje, niech płonie,
Byleby tylko nam serce
Nie spopielilo się w łonie.

Byleby tylko te dymy,
Co z ziemi się kłębią umarłej,
Mózgu nam nie przyćmiły
I oczu nam nie wyżarły.

Byle ten huk i ten łomot,
Wątek straszliwej powieści,
Nie odjął nam władzy słyszenia,
Co za tą grozą się mieści.

Byleby tylko ratunek,
Z którym do ognia nas pędzą,
W kaleki nas nie przemienił,
Napiętnowane nędzą.

Albowiem walą się mury,
Zwężlone pękają wiązadła,
Niejedna już na nas cegła,
Niejedna belka upadła.

I w tym zamęcie, w tych trzaskach,
W skrach, co nad nami rozbłysły,
Wydaje się nieraz, gubimy
Najpierwotniejsze zmysły.

Dar przyrodzony, przed wieki
Zawyrokowan w niebie,
Że człowiek, szukając skarbu,
Ma przed się szukać siebie.

Że świat posiadłszy dla duszy
Umiłowane przestrzenie,
Gdzie łączą się dusz miljony,
Winien utrzymać to mienie.

A my, tak nieraz się zdaje,
Znamy dziś jedno li prawo:
Niszcząca gotowość wyrzeczeń
W sercu rysuje się krwawo.

Świadkowie, jak tłumy obłądne,
Żar rozdmuchują lub gaszą,
Prawie tracimy świadomość,
Co w tem chudobą jest naszą.

Wtłoczeni w ciżbę krzyczącą,
Ledwie szepcemy nieśmiało,
Błagając, by chociaż cokolwiek
Z dobytku nam ocalało:

Choćby najwęższy opłotek,
Izdebka chociażby jedna,
Byleby miała gdzie spocząć
Zmęczona głowa biedna.

Byleby miała gdzie wyznać
Przy ostatecznej spowiedzi,
Jaki w niej bezład i jaka
Rozpacz w jej wnętrzu siedzi.

Snać wyżerają nam oczy
Czarne, kłębiące się dymy,
A któż to ma patrzeć z radością
Na nowe gmachy-olbrzymy?

Snać mózg się nam mąci w głowie,
A któż ma obmyślać plany,
Rozmierzać i liczyć, by dom nasz
Trwale był zbudowany?

Widać, że słuch nasz przygasa,
A któż to ma prawo słuchania
Tryumfalnego hejnału,
Co już z oddali podzwania?

Snać się nam serce spopiela —
Oby w sto słońc rozbłysnęło,
Bo któż ma ukochać po wieki
Swe własne, wieczyste dzieło?

Pali się świat... Niechże ginie
W tej strasznych skier zawierusze,
Byleby wyszły z niej cało
Nasze stęsknione dusze...

XLI

Rzadko na moich wargach —
Niech dziś to warga ma wyzna —
Jawi się krwią przepojony,
Najdroższy wyraz: Ojczyzna,

Widziałem, jak się na rynkach
Gromadzą kupczykowie,
Licytujący się wzajem,
Kto Ją najgłośniej wypowie.

Widziałem, jak między ludźmi
Ten się urządza najtaniej,
Jak poklask zdobywa i rentę,
Kto krzyczy, iż żyje dla Niej.

Widziałem, jak do Jej kolan —
Wstręt dotąd serce me czuje —
Z pokłonem się cisną i radą
Najpospolitsi szuje.

Widziałem rozliczne tłumy
Z pustą, leniwą duszą,
Jak dźwiękiem orkiestry świątecznej
Resztki sumienia głuszą.

Sztandary i proporczyki,
Przemowy i procesyje,
Oto jest treść Majestatu,
Który w niewielu żyje.

Więc się nie dziwcie — ktoś może
Choć milczkiem słuszność mi przyzna —,

Że na mych wargach tak rzadko
Jawi się wyraz: Ojczyzna.

Lecz brat mój najbliższy i siostra,
W tak czarnych żałobach ninie,
Ci wiedzą, że chowam tę świętość
W najgłębszej serca głębinie.

Ta siostra najbliższa i brat ten,
Wybrani z pomiędzy rzeszy,
Ci znają drogi, któremi
Moja Wybrana śpieszy.

Krwawnikiem zarosłe ich brzegi,
Łopianem i podbiałami:
Śpieszę z Nią razem, topole
Ślą swe westchnienia za nami.

Przystajem na cichych mogiłach,
Słuchamy, azali z ich wnętrza
Jakiś się głos nie odezwie,
Jakaś nadzieja najświętsza.

Zboża się złocą dojrzałe,
A tam już widzimy żniwiarzy,
Ta dłoń swą na czoło mi kładzie
I razem o sprzętach marzy.

A potem, podniósłszy głowę,
Do dalszej wstając podróży,
Woła: „Miej radość w duszy,
Bo tylko radość nie nuży.

„Podporą ci będzie i brzaskiem
Ta ziemia, tak bujna, tak żyzna,

Nią-ci Ja jestem, na zawsze
Twa ukochana Ojczyzna“.

Jakiś złośliwy złoczyńca
Pszeniczne podpala stogi,
U bram się wije niebieskich
W rozpaczy człowiek ubogi.

Jakaś mordercza zaraza
Z głodem zawiera przymierze,
Na przepelnionych cmentarzach
Krzyże się wznoszą świeże.

Jakoweś głuche tętenty
Wskroś przeszywają powietrze,
Kłębią się gęste chmurzyska,
Czyjaż to ręka je zetrze?

Jakaś olbrzymia rzeka
Wezbrała krwią i rozlewa
W krąg purpurowe swe nurty,
Zabiera domy i drzewa.

Jakoweś idą pomruki —
Drży niepoznana puszcza,
Dęby się groźnie ozwały,
Cóż to za moc je poduszcza?

A nad tą dolą-niedolą
Poranna nieci się zorza,
Na pieśń mą, Ojczyzny pełną,
Spływa promienność boża.

W mej pieśni, bogatej czy biednej —
Przyzna mi ktoś lub nie przyzna —

Zyje, tak rzadka na wargach,
Moja najdroższa Ojczyzna.

XLII

Zali naprawdę już wiosna
Jawi się stopy lekkimi
Na ziemi, twardej od mrozu,
Na śniegiem pokrytej ziemi?

Zali naprawdę nie myli
Wlepione w przestrzeń oko?
Szeroko-li świat ten ogarnia,
Wnika-li w niego głęboko?

Zali naprawdę mu wierzyć,
Iż coś się na wyżach przemienia
I w głębiach coś się już spełnia,
Z czym się nie spotkasz bez drżenia?

Zali naprawdę twe serce
Już się radować może,
Albowiem zima przechodzi,
Żary tłumiąca boże?

Według zwyczajnej rachuby,
Co ludzi w swych więzach miewa,
Daleko jeszcze do chwili,
Gdy zaczną pękać drzewa

Do tego czasu daleko,
Kiedy na dach nasz słomiany,
Do gniazd, porzuconych tak dawno,
Stęsknione wrócą bociany.

Kiedy z pod śniegu powłoki
Oślepi cię żywy blask żyta,
Że dusza, cudy goniąca,
Przystaje nagle, jak wryta.

Kiedy nad polem i łąką,
Co w zorzy się kąpie złotej,
Skowroncze usłyszysz pieśni,
Źródło i cel twej tęsknoty.

Daleka jeszcze godzina,
Gdy pierwsza zakwitnie róża,
Lecz świty wcześniej już wstają,
Wcześniejszy dzień się przedłuża.

Słońce już większym się toczy
Łukiem i, grzejąc z południa,
Zimie, zbyt dufnej w swe siły,
Bezwzględną władzę utrudnia.

A wczoraj, kiedy mnie kroki
Do parku szarego zawiodły,
Spostrzegłem, jak świeży kęs trawy
Z pod szarej wybijał się jodły.

Zaś kiedym wracał do domu,
Czułem, iż zorza, co właśnie
Gaśła w mych oczach, naprawdę
Nie bez nadziei gaśnie.

Wszystko to znaki niemyłne,
Choć jeszcze tak słabo rosną,
Że Cud się już ku nam przybliża,
Nazywający się Wiosną.

Zegnaj mi, księgo ty moja!
 Płone-m zgromadził brogi:
 Ubogą jesteś w swej treści,
 Tworzył cię człowiek ubogi.

Niewielki jest obszar życia,
 Po którym, na kiju oparty,
 Wałęsam się niedołąźnie,
 Na myśli mając twe karty.

Pola, że dzień li wystarczy,
 By zmierzyć je stopy ludzkiemi,
 Granice widzialne, lecz słońce
 Zachodzi i wschodzi nad niemi.

Lasy, do których zbaczałem
 Po szumy na zwrotki te skromne,
 Nie ciągną się gdzieś na mile,
 Nieomal świerk każdy pomnę.

Nie puszcza to niedostępna,
 Nie żaden matecznik głęboki,
 Ma przecież swe tajemnice,
 Co wabią najślubsze kroki.

Nie dajesz pewności, ma księgo,
 Azali odgadnie je człowiek,
 Lecz każ mu otwarte mieć uszy
 I nie zamykać powiek.

O, jakież dom to malutki
 Jakaż to ciasna zagroda!

Zdawałoby się, że oczu
 Odwracać na nie szkoda.

Trzy, albo cztery jesiony —
 Któż je tam liczyć będzie? —
 I kwiaty najpospolitsze
 Na kilkułokciowej grzędzie.

A przecież w tych lichych opłotkach,
 W tych ścianach, ciosanych z drzewa,
 Wypełnia się życie, co własny
 Przyływ i odpływ miewa.

Czy głośnie jest ono, czy ciche,
 Czy meta ócz jego daleka:
 Miało-ci swe narodziny
 I na swój koniec czeka.

I to wystarczy. Zaś reszta —
 Czy siła niem rządzi, czy może
 Słabość, niech o tem wyroki
 Zawyrokują boże...

Na rzece mej, w wieczność płynącej,
 Wspaniałe nie stoją mosty,
 Kładka li z chwiejną poręczą,
 Stawiał ją człowiek prosty.

Nie przejdą-ci po niej tłumy —
 Najmniejszy wiew ją porusza,
 Lecz może na tamtą stronę
 Spojrzy z niej jedna choć dusza.

Czy zoczy świat nowy, ja nie wiem:
 Mgieł ja tych nie rozwieję,

Co drzemią na drugim brzegu,
Choć tę żywiłem nadzieję.

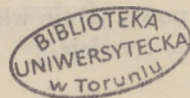
I nic śmiesznego w tem niema:
Nadziei mej czułą macierzą
Nie pycha była, lecz miłość —
Ci, co kochali, uwierzą...

Zrodzona pod znakiem słońca,
Miałaś być wieścią radosną,
A z ostatnimi kartami
Troski krwawiące rosną.

Kto temu winien?... Losy,
Co przed się na oślepe pędzą
I uśmiechniętą błoń życia,
Jak kurzem, skrywają nędzą.

Lecz kto się patrzeć nie nuży,
Pod pyłu powłoką suchą,
Zieloność zobaczy niezwiędłą,
Z słoneczną się spotka otuchą...

Żegnaj mi, księgo!... Nic losów
Utrzymać nie zdoła na wodzy!...
Rzuca cię człowiek ubogi,
Przyjmą cię ludzie ubodzy.



Co dzieją na drogach brzozy
Chodź ty swieim nadzieję.

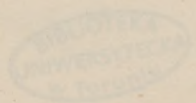
I nie miłościwego w ten dzień
Nadzieję miłą czuły macierzy.
Nie pycha była, lecz miłość —
Ci, co kochali, uwiery.

Zobdane pod matkami słońca
Miałby być obietnicą radość.
A z osamotnieniem karmić
Trochę krawiec rano.

Kto temu winien?.. Lecz
Co przed się na odległość
I niecierpliwie błędnie
Jak kuzem, straszny upiór.

Lecz kto się patrzeć nie może
Pod piłę powolną iucha
Zieloność żołnierz niewidła
Z mordercą się spotka oświeca.

Zegnąj mi, księżo!.. Nie-żarów
Utrzymaj nie dłoń na wstępie
Knuć cię rękami dłoń
Przeprze się łuzie wstępie.



Arch. Emigracji

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1393239

Biblioteka Główna UMK



300051198076

5/6